

Conan

z Wysp


AMBER

A black and white illustration of Conan the Barbarian and a woman in a small boat. Conan is in the center, shirtless and muscular, with a dark loincloth, holding a sword aloft in his right hand. The woman is seated in the front of the boat, looking towards the viewer. The background shows a misty, mountainous landscape with other figures in the distance.

Lin
Carter
L. Sprague
de Camp

LIN CARTER
Conan z wysp

**TYTUŁ ORYGINAŁU: CONAN OF
THE ISLES
PRZEŁOŻYŁ J. D.**

„...i w końcu, o Księżę, stało się, że rebelia Asalanty została zdławiona i daremnym było wskreszenie ze zbutwiałego prochu z archeońskiego grobowca ponurego cienia Xaltotuna. Zawiodły nawet czarodziejskie moce Yah Chienga, żółtego czarodzieja z mrocznego i demonami nawiedzanego Khitaju. I wtedy to Conan z Aquilonii złożył koronę i porzucił tron najpotężniejszego królestwa Zachodu, zapuszczając się w nieznane, gdzie na zawsze zniknął z ludzkich oczu.

KRONIKI NEMEDIAŃSKIE

Z głębiny dziejów, z zapomnienia,
gdzie jeszcze śpi pradawny stwór.
Cienie przybyły na milczenia skrzydłach,
szkarłatnych niczym piekieł trzewia.
„Proroctwo Epemitreusa”

CZERWONE CIENIE

Król Conan siedział na sędziowskim tronie w sali sprawiedliwości. Za oknami błękit nieba rozpościerał się nad pełnymi kwiatów ogrodami Tarancji, stolicy Aquilonii. Między niebem a zielenią ogrodów wznosiły się wieże z białego kamienia, złote kopuły świątyń i pokryte czerwoną dachówką dachy domów i pałaców. Na całym zachodzie hyboriańskiego świata nie było piękniejszego i bardziej majestatycznego miasta. Dobrze utrzymane ulice Tarancji roiły się od przechodniów. Tysiące kobiet i mężczyzn na grzbietach koni, mułów i osłów, w lektykach, rydwanach lub wozach zaprzężonych w woły bez przerwy podążało ku swoim celom. Po wodach Khorotasu krążyły lekkie łodzie przypominające roje wodnych owadów. Dwadzieścia lat twardych, ale i rozumnych rządów Conana Wielkiego uczyniło Aquilonię najpotężniejszym i najzasobniejszym krajem, jakiego od zarania świata dotąd nie widziano. Wewnątrz sali bogato ubrani szlachcice, dworzanie w jedwabiach i mieszczanie w jasnych togach z oznakami cechów zawieszonymi na piersiach stali w milczeniu, podczas gdy król wymierzał sprawiedliwość. Dzisiaj miało zostać rozpatrzonych kilka spraw o niezwykłym znaczeniu, dlatego w sali sprawiedliwości znalazła się połowa wysoko urodzonych Aquilończyków. Oprócz młodego Gonzalvia, wicehrabiego Poitain i jego ojca, starego Trocero, jak zawsze szczupłego i wytwornego w szacie ze szkarłatnego aksamitu, byli tu również hrabia Monaro z Couthen, baron Guilaime z Imiru, a także dostojny, śnieżnobrody starzec – Dexitheus, arcykapłan Mitry. Groźni wojownicy z królewskiego legionu Czarnych Smoków stali przy drzwiach i pod ścianami, a słońce błyskało na ich hełmach uwieńczonych skrzydlatymi gestiami oraz grotach włóczy. Wszystkie oczy zwrócone były na podwyższenie, na którym dwa trony wznosiły się ponad

tłum. Poniżej gruby kupiec nerwowo miał w palcach fałdy swej szaty, podczas gdy jego adwokat
zawile tłumaczył coś patrząc na króla.
Conan z wysokości swego tronu spoglądał groźnie w dół na drżące strony sporu.
W głębi
duszy czuł wstręt do tych nudnych, rozwlekłych i pełnych zawilości spraw, z ich
żałosnymi
kłamstwami, wyrachowaniem i powodującymi ból głowy komplikacjami. Jakże
pragnął cisnąć
koroną w tłustą gębę tego chciwego głupca, potem wybiec z sali, ścisnąć udami
boki ogiera i
pognać na całodzienne polowanie w północnych lasach!
Niech piekło porwie takie królowanie! – pomyślał. – To wysusza całą ikrę w ciele
mężczyzny, czyniąc go starym, gderającym nudziarzem, nie mającym dość krwi w
żyłach, aby
zamachnąć się dwuręcznym mieczem. Bez wątpienia, po dwudziestu latach
noszenia korony
prawdziwy mężczyzna ma prawo rzucić precz honory i tytuły i ruszyć ostatni raz
ku przygodom
zbryzganym krwią, zanim Czas zetnie go swą nieubłaganą kosą.
Conan spojrział ukradkiem na drugi, niższy tron, na którym siedział jego syn,
książę Conn,
dziedzic królestwa Aquilonii. Młodzieniec miał dwadzieścia lat i przygotowywał się,
by przejąć
koronę najpotężniejszego królestwa Zachodu. Stary król uśmiechnął się
dyskretnie, ujrawszy
znudzony, buntowniczy grymas na twarzy młodego Conna. Niewątpliwie ten
młodzik też marzył
o tym, by zrzucić z siebie ciężką, paradną szatę i wyruszyć na polowanie czy
spędzić noc z
dziewkami w nadbrzeżnej oberży. Wspomniawszy własną gorąckrwiwą młodość,
Conan
zachichotał w duchu.
Rzeczywiście, książę Conn był bardzo podobny do swego ojca. Miał takie same,
nachmurzone, ciemne brwi ponad oczyma pałającymi błękitnym ogniem. Taka
sama była smagła
twarz z kwadratową szczęką, obramowana czarną grzywą przyciętą w kwadrat.
Takie samo było
też krzepkie ciało o jędrnych mięśniach napinających jedwab i aksamit na
szerokich ramionach
oraz wysoko sklepionych piersiach. Syn Conana górował głową i ramieniem nad
wszystkimi
mężczyznami w sali, wyjąwszy tylko swego tytanicznego ojca, największego

wojownika, jakiego

świat znał kiedykolwiek.

Czas nie pokonał jeszcze króla Conana. Prawda, że wiele srebra błyszczało mu w gęstej,

czarnej grzywie i krótko przyciętej brodzie, która otaczała jego srogie usta i żelazne szczęki.

Ubyło mu też trochę ciała, co upodobiło go do wysuszonego starego wilka z północnych

stepów. Zimna ręka Czasu wyryła głębokie bruzdy na posępnym czole Cymmerianina i

pokrytych bliznami policzkach. Ciągle jeszcze niewzruszona żywotność wrzała wewnątrz

olbrzymiej postaci. Gorące ognie dawnych furii wciąż tliły się w jego oczach, a paraliżujący

uchwyt Czasu nieznacznie tylko nadwątlił siłę mocarnych dłoni, giętkość ścięgien i prężność

muskułów.

Conan siedział na srebrnym tronie tak, jakby dosiadał bojowego rumaka. Berło sprawiedliwości trzymał niczym żelazną, bojową maczugę, mogącą unieść się w każdej chwili i

strzaskać czaszkę wroga. Bogata szata obwieszona klejnotami i złotymi łańcuchami nie mogła

ukryć bijącej od niego dzikiej, pierwotnej siły. Gdziekolwiek by nie był – na hałaśliwej uczcie,

w ciszy i kurzu biblioteki lub jedwabistym wnętrzu alkowy – ten posępny barbarzyńca z mgłą

okrytych pustkowi Cymmerii wszędzie przynosił ze sobą groźny nastrój pola bitwy.

Minęło już ponad dwadzieścia lat od chwili, gdy zrządenie losu oraz jego własna, nieugięta

wola wyniosły go spośród rzeszy bezimiennych awanturników na olśniewający tron

najpotężniejszego i najwspanialszego królestwa Zachodu.

Blisko pół wieku przeszło od tamtej nocy, kiedy to obdarty, szalony młodzik z zerwanym

łańcuchem w ręku wy dostał się z hyboreańskiej zagrody dla niewolników, wyruszając w drogę,

która zaprowadziła go na najwyższy szczyt potęgi i chwały. Conan Cymmerianin w bitwach i

wojnach przemierzył pół świata, wyrąbując sobie krwawą ścieżkę przez tuzin królestw, od

burzliwych brzegów Oceanu Zachodniego, po mgliste doliny bajecznego Khitaju.

Jako złodziej, pirat, najemnik, przywódca tajemnych bractw, generał armii kilku

królestw,

Conan ryzykował życie zaznając wszystkich przygód, cudów i przyjemności, jakie tylko mógł

dać ten świat. Z ręki potężnego Cymmerianina ginęły demony, smoki i pełzające okropieństwa z

pradawnych wieków. Tysiące wrogów poczuło w trzewiach chłód jego ostrza.

Wojownicy w

zbrojach, źli czarnoksiężnicy, wodzowie dzikich barbarzyńców i pyszni królowie.

Nawet wieczni

bogowie uciekali czasami przed bojową furią Conana.

Jednak przygoda, która zaczęła się owego gorącego, wiosennego dnia tutaj, w sali

sprawiedliwości pałacu w Tarancji, osiem tysięcy lat po zatonięciu Atlantydy, a siedem tysięcy

lat przed powstaniem Egiptu i Sumeru, była najdziwniejszą i najbardziej

niesamowitą ze

wszystkich, które do tej pory złożyły się na historię życia Cymmerianina. Zaczęło się nagle i

nieoczekiwanie. W jednej chwili Conan patrzył gniewnie na grubego kupca i jego elokwentnego

adwokata, w następnej zaś spojrział zdziwiony na salę, zatrzymując wzrok na postaci swego

starego, wiernego przyjaciela, hrabiego Trocero z Poitain, który niespodziewanie zachwiał się na

nogach. – Nie! Na wszystkie diabły Piekieł. Nie!

Chrapliwy krzyk starego arystokraty, wibrujący obłądnym przerażeniem i rozpaczą, przerwał

wywód adwokata. Zdumione oczy obecnych zwróciły się ku zataczającemu się Trocero. Mogłoż

to być, że stary hrabia Poitain przybył do sali sprawiedliwości pijany?

Jednak widok bezkrwistej twarzy, wykrzywionej malującym się na niej potwornym strachem,

natychmiast odpędził takie podejrzenie. Krople zimnego potu zabłysły na białym obliczu

hrabiego, a zsiniałe wargi poruszały się jak w agonii. Ciemne obwódki otoczyły wytrzeszczone

oczy.

–Trocero! – wykrzyknął Conan. – Co ci jest?!

Król wstał z tronu, widząc jak jego przyjaciel i współpracownik wyciąga przed siebie ręce,

próbując odepchnąć niewidzialnego napastnika. W sali zapadła cisza. Syn

Trocero rzucił się

przez ciżbę, by podtrzymać ojca. Hrabia padł na kolana.

–Nie, mówię nie! – krzyknął. – Nie możesz... nie odważysz się! Och, Isztar i Mitro!

–
podniósł głos w udręce przerażenia.

I wtedy uderzył Strach.

Spod żebrowanego sklepienia sali spłynęły szkarłatne cienie, tak blade i

bezcieleśne jak

pasemka wyblakłej, czerwonej mgły. Były to cienie Strachu.

W mgnieniu oka zawirowały dookoła postaci starego Poitainczyka. Jeszcze przez chwilę

poprzez czerwoną zasłonę widać było jego białe, stężałe rysy. Wyglądało to tak, jakby gromada

duchów oblepiła Trocero ze wszystkich stron.

Przez długą, upiorną chwilę czerwone cienie zasnuwały wokół hrabiego różową zasłonę, a

potem wszystko zniknęło.

Cała sala zamarła z wrażenia. Na każdej twarzy malowało się niedowierzenie.

Stary hrabia

Poitain, który przez ćwierć wieku stał u boku Conana i walczył w dziesiątkach wojen, po prostu

rozpłynął się w powietrzu.

–Ojczy! Na Mitrę... – przerwał ciszę młody Gonzalvio. Na żelazne serce Croma! – ryknął

Conan. – Czarna magia w moim własnym pałacu? Muszę mieć głowę tego, co wywołał to zło!

Hej, strażę! Przekłęci głupcy, trąbić na alarm! Wściekły krzyk Conana przerwał nastrój

otępiałego niedowierzenia. Kobiety zaczęły pisać i mdleć. Mężczyźni klęli, przecierali oczy i

gromadzili się wokół miejsca, w którym przed chwilą stał największy pan w Aquilonii. Nagle

ponad gwar głosów przebił się grzmot mosiężnych rogów. Zawarczały bębny i gwardziści

Conana z legionu Czarnych Smoków z mieczami w dłoniach przepchnęli się przez skłębiony

tłum i stanęli w szyku wokół królewskich tronów, nad którymi wisiał sztandar z lwem Aquilonii.

Nigdzie jednak nie było żadnego wroga; ani przebiegłego mordercy, ani ukrytego szpiega, ani

wreszcie nikogo widzialnego.

Na podwyższeniu, otoczony przez swych gwardzistów, król Conan badał salę zawziętym,

nieporuszoną spojrzeniem stepowego lwa. Głęboko w duszy czuł przeszywający ból dotkliwej

straty. Trocero z Poitain był pierwszym, który wysunął imię Conana jako przywódcy rewolty przeciw zdegenerowanemu królowi Numedidesowi. To Trocero poprowadził wyprawę na dalekie wybrzeże krainy Piktów, by sprowadzić stamtąd Cymmerianina, wygnanego przez zazdrość Numedidesa.

Później Conan wyruszył z Argos na czele garstki dzielnych wojowników i zakrwawionym mieczem wyrąbał sobie drogę aż do bram Tarancji. Tu Cymmerianin gołymi rękami zadusił zdeprawowanego Numedidesa, a zdartą z jego głowy koronę założył na własne skronie.

Najstarszy i najwierniejszy przyjaciel Conana był pierwszą ofiarą Strachu. W ciągu następnych tygodni Strach uderzał raz za razem, dopóki siedem setek Aquilończyków – parów i tragarzy, szlachetnych dam i kurtyzan, dostojników i żebraków, kapłanów i chłopów, nie zniknęło w upiornym uścisku czerwonych cieni.

Gdy wiek za wiekiem bez przerwy szedł i płynął czas nad mym grobem,
ja spałem twardo w ponurej ciszy,
w cieniu feniksów skrzydeł,
lecz teraz wreszcie się zbudzę.

„Proroctwo Epemitreusa”

CZARNE SERCE GOLAMIRY

Samotny król Conan spał w wielkiej komnacie o złotym sklepieniu. Jego sen był niespokojny i pełen koszmarów. Przez ostatnie trzy dni i noce przedzemał najwyżej godzinę, usiłując zwalczyć niesamowitą plagę, która opanowała Aquilonię. Zasięgał rady najmądrzejszych ludzi królestwa – sędziwych mędrców i uczonych lekarzy. Prosił o modlitwy kapłanów Mitry, Isztar i Asura. Wysłuchiwał meldunków szpiegów. Szukał zaklęć i wróżb, czarodziei i magów – wszystko na próżno. Wreszcie zmęczenie ogarnęło jego żelazne ciało i posiwiały barbarzyńca leżał teraz w ciężkiej kolczudze na jedwabnej pościeli, z wielkim dwuręcznym mieczem w zasięgu ręki, pogrążony w pełnym majaków śnie. Nagle spłynęło na niego widzenie. Wydało się Conanowi, że słyszy odległy głos, a powtarzające się wołanie, choć niezrozumiałe, było dość głośne, by mógł się obudzić. Stał na nogi, obejrzał się i ujrzał własne ciało leżące w głębokim śnie. Potężna pierś unosiła się i opadała. Kolczuga połyskiwała jak srebro w świetle księżyca, które wpadało przez wysokie i wąskie okna. Odległe, mrużące wezwanie nadleciało znowu. Brzmiała w nim nutka przynaglenia, ale słów dalej nie można było zrozumieć. Stary król podszedł przez ciemność w kierunku światła księżyca. Przekroczył przestrzeń i czas, aż ogarnęła go wirująca szara mgła, zamazująca wszystkie kształty przed oczami. Posuwał się ciągle naprzód drogą niepodobną do żadnej z dróg materialnego świata, który pozostawił za sobą. Szedł przez lepłą szarość mgły narodzonej z nocy. Wezwanie, które wywołało duszę Conana z ciała do wnętrza tego świata, nadchodziło raz za razem. Stopniowo wzywający głos stawał się wyraźniejszy: Conan z Cymmerii! – Conan z Aquilonii! – Conan z Wysp! Był zaintrygowany tym, co słyszał: co znaczyło to imię – Conan z Wysp? Taki

przydomek

nigdy dotąd nie był łączony z jego imieniem. Szara mgła rozrzedziła się, a zamiast niej zabłysło

przyćmione, nieziemskie światło. Conan stał teraz w gigantycznej sali, której hebanowe ściany i

wysoki, sklepiony strop sprawiały wrażenie wyrzeźbionych w martwej czerni pradawnej nocy.

Nikły, magiczny blask promieniował z posępnych murów, oświetlając kolosalną rzeźbę, która

wyrastając z podłogi sięgała aż do sklepienia. Każdy cal czarnych ścian pokrywała płaskorzeźba

przedstawiająca nie kończące się szeregi maleńkich postaci. Były to miliony ludzi walczących ze

sobą lub pogrążonych w rozmyślaniach. Sądząc po osobliwych szczegółach ich ubiorów i broni,

pochodzili oni z zamierzchłych królestw w pradawnych eonach.

Gigantyczny gobelin wykuty w zimnym kamieniu ukazywał przekrój historii człowieka, od

zapomnianych dni, kiedy to pochylony, włochaty małpolud szedł niezdarnie przez dżunglę, a

czarnoskrzydłe Ka, Dusza Stwórcza, unosiła się nad nim wieszcząc narodziny cywilizacji, dalej

przez czas, w którym Atlantyda, Lemuria, Valusia i Stary Gondor zmagaly się o władzę nad

ziemią, aż po Kataklyzm i rozkwit potęgi Archeonu.

Ponad pochodem starożytnych królów i bohaterów unosiły się inne postacie – zniekształcone, niezgrabne i straszne. Conan znał ich jako Pradawnych

Bezimiennych, którzy

rządzili gwiazdym zbiorowiskiem Wszechświata na biliony eonów przed narodzeniem się

Gayomara – pierwszego z ludzi.

Wtedy to Conan zrozumiał, że jego dusza kroczy przez beczasowe marzenie, przywołana tu

przez starożytną siłę, która czuwa nad ludzką rasą. Z niepokojem pomyślał, że stopa śmiertelnego

człowieka nigdy dotąd nie poruszyła pyłu, którego cienka warstwa pokryła hebanową podłogę

przez niezliczone wieki. Potem jednak uświadomił sobie, iż kiedyś, w magicznym śnie stał już w

tym miejscu. Kierując się owym wspomnieniem, Conan przeszedł przez kolosalną, czarną

gardziel do sali wewnętrznej.

Minęły już dziesiątki lat od dnia, w którym był tu po raz pierwszy, ale cóż znaczą

efemeryczne pokolenia śmiertelnych ludzi dla tego, który śpi w trzewiach
Golamiry, Góry
Wiecznego Czasu?
Conan zbliżył się do szerokich schodów z czarnego kamienia, skręconych w
spiralę, która
wznosiła się do nieodgadnionej wysokości. Tutaj podobne do urwisk ściany
ozdobiono
tajemniczymi symbolami i rzędami egzotycznych napisów, tak starożytnych i tak
sugestywnych,
że w Cymmerianinie ocknęły się szczątkowe wspomnienia po zwierzęcych
przodkach, żyjących
w zaraniu czasów. Przebudzenie ukrytej głęboko we krwi pamięci Starych Czasów
spowodowało, że Conanowi ścierpła skóra. Pośpiesznie odwrócił wzrok od owych
rytów.
Wstępując na kręte schody, Cymmerianin zauważył, iż każdy stopień tworzyły
wijące się
zwoje koszmarnego Seta – Pradawnego Węża. Wiecznego i złośliwego Demona
Ciemności,
uchwyconego przez rzeźbiarza w chwili, gdy ze zwałów pradawnego szlamu
wynurzał swe
łuskowate cielsko. Zgodnie z wolą nieznanego twórcy, wędrowiec idący po tych
schodach stawał
się symbolem człowieka wspierającego się na ślepych siłach chaosu. Krok za
krokiem Conan
wspinał się w górę.
W końcu zobaczył grobowiec, wyciosany z jednej bryły połyskującego kryształu.
Gdyby to
był diament, a tak właśnie wyglądał, to cały sarkofag byłby wart więcej niż
wszelkie pieniądze
świata. Zimny kryształ połyskiwał tysiącami niespokojnych światła, podobnych do
mnóstwa
uwięzionych gwiazd.
Po bokach sarkofagu, w posępnej ciszy krypty, wznosiły się potężne kształty dwu
ogromnych
feniksów, o szponiastych łapach i zakrzywionych dziobach, ze skrzydłami
rozpostartymi tak, by
osłonić tego, który spał w diamentowym grobowcu.
Z hebanowej ciemności wyłoniła się postać w białej szacie, otoczona aureolą
najczystszej
światła. Conan bez słowa wpatrywał się w majestatyczną, brodatą twarz.
–Powiedz, o śmiertelny! – rzekła postać głosem głębokim i donośnym. – Wiesz,
kim
jestem?

–Tak – mruknął Conan. – Na Croma i Mitrę oraz wszystkich bogów światła, jesteś prorok

Epemitreus, którego ciało rozsypało się w proch piętnaście wieków temu!

–Prawda, Conanie. Minęło wiele lat, gdy ostatni raz przywołałem twą uśpioną duszę, by

stała przede mną tu, w czarnym sercu Golamiry. Przez lata, które przeszły od tamtego dnia,

mój nieśmiertelny wzrok śledził cię na wszystkich twych drogach, wędrówkach i wojnach. Tak

miało być. Wykonaliśmy wszystko zgodnie z wolą Przedwiecznego, który wysłał mnie tutaj jako

strażnika ludzkości. Lecz teraz ciemność wznosi się ponad wszystkimi krainami Zachodu.

Nadchodzi Cień, z którym jedynie ty ze wszystkich śmiertelnych ludzi możesz się zmierzyć.

Conan chciał przemówić, ale koścista ręka mędrca podniosła się nakazując milczenie.

–Słuchaj uważnie, Conanie! W dawno minionych czasach Władcy Życia dali mi siły i

mądrość większą niż innym ludziom. Dzięki tym darom mogłem stanąć do walki z piekielnym

Setem, którego uśmierciłem, znajdując w tej walce również śmierć. To wydarzenie chyba znasz.

–Tak mówią stare księgi i legendy – odparł Conan.

–I tak było – potwierdziła świetlista postać. – Ty wiesz, o dziecię ludzkie, że od początku

bogowie naznaczyli cię do wielkich czynów i nieśmiertelnej sławy. Ścieżka twa wiodła przez

wiele pełnych niebezpieczeństw przygód; setki mrocznych i złych ludzi oraz wiele nieludzkich

sił skonało pod twoim mieczem. Bogowie są z ciebie zadowoleni.

Twarz Conana pozostała niewzruszona i nic nie odpowiedział na taką pochwałę. Głęboki i

dźwięczny głos Epemitreusa mówił dalej:

–Oczekuje cię ostatnie zadanie, Cymmerianinie, zanim udasz się na należy ci spoczynek.

Do tego zadania twa dusza została przeznaczona jeszcze przed początkiem czasu. Oczekuje cię

największe i najświetniejsze zwycięstwo, choć cena, jaką zapłacisz, będzie gorzka.

–Co to za zadanie i jaka będzie cena? – spytał bez wahania Conan.

–Zadaniem jest ocalić zachód świata przed Strachem, który teraz nawiedził twój kraj.

Straszne fatum unosi się nad krainami ludzi, gotując im los straszniejszy, niż
umysł twój może
pojąć. Strach zniewoli dusze twego ludu, podczas gdy ich ciała będą
rozszarpywane w
bestialskich męczarniach przez ręce, które powinny były rozpaść się w proch
osiem tysięcy lat
temu!
Prorok utkwiał wzrok w posępnej twarzy Conana.
–Lecz by tego dokonać, musisz oddać tron oraz królewską koronę swemu synowi
i zapuścić
się samotnie na zamglone morskie pustkowia, za najdalszy horyzont Oceanu
Zachodniego.
Popłyniesz tam, gdzie nie dotarł nigdy żaden śmiertelny z twej rasy, odkąd
Atlantyda pograżyła
się w lśniące fale. Tej nocy ukradkiem i w tajemnicy wyruszysz w drogę. Nie
wolno ci obejrzeć
się za siebie nawet w myślach. Pozostawisz za sobą, prócz tronu i korony, pismo
o abdykacji.
Droga przez nieznanne morza jest długa i ciężka. Wiele niebezpieczeństw stoi
pomiędzy tobą a
tym celem. Nawet bogowie nie mogą cię przed nimi osłonić. Jednak tylko ty, ze
wszystkich
ludzi, możesz pójść tam mając nadzieję zwycięstwa. Twoja samotność będzie
pełna chwały.
Zważ, że tylko kilku śmiertelnym dane było zbawiać swój świat!
Mędrzec uśmiechnął się do króla.
–Mogę ci dać jeden podarunek. Noś go stale przy sobie, gdyż w godzinie
ostatecznej próby
będzie on twym jedynym ratunkiem. Nie mogę powiedzieć ci nic więcej. W razie
potrzeby twe
serce podpowie ci, jak użyć tego talizmanu.
Mgła połyskująca światłami, podobna do pyłu gwiazd, spłynęła z wyciągniętych
dłoni
proroka. Coś, jakby szkło, szczęknęło u stóp Conana, a ten bez słowa pochylił się
i podniósł
amulet.
–I jeszcze jedno – odezwał się Epemitreus. – Czarnoksiężnik, władca starej
Atlantydy,
używa symbolu Czarnego Krakena. Znak ten nadal zachowuje swą moc. Strzeż się
go! – Idź
teraz, dziecię Croma – zakończył mędrzec – gdyż nie jest roztropnie błąkać się po
królestwie
cieni, dokąd zawezwałem twego ducha. Wracaj do twej cielesnej powłoki, a

błogosławieństwo

bogów światła pójdzie z tobą, by oświetlać twą ciemną i straszną ścieżkę! Nigdy więcej nie

zobaczysz już twarzy Epemitreusa. Ani w tym świecie, ani w wielu przyszłych, przez które w

kolejnych żywotach będziesz wędrował i walczył. Żegnaj!

Conan obudził się gwałtownie i usiadł ciężko dysząc. Był mokry od potu. To tylko sen! –

pomyślał. Wino ze środkiem nasennym i myśli zaprzątnięte kłopotami stworzyły tę niesamowitą wizję.

Nagle jego wzrok padł na przedmiot zaciśnięty w spotniałej dłoni. Był to malutki feniks

wyrzeźbiony w połyskującym diamencie. Cymmerianin podjął ostateczną decyzję.

Trzy godziny później, gdy letnia burza błyskała i grzmiała nad Tarancją, ogromna postać

zawinięta w obszerny czarny płaszcz i z twarzą skrytą pod kapturem wymknęła się tajną bramą

za mury miasta. Za nią pojawiła się inna wysoka postać, wiodąca krewkiego ogiera. Zatrzymali

się na chwilę, a pierwszy mężczyzna sprawdził popręg i długość strzemion.

–Przekleństwo na to! – zabrzmiał młody głos księcia Conna. – To niesprawiedliwe!

Powinienem iść z tobą!

Conan potrząsnął przecząco głową.

–Crom wie, synu, że gdybym mógł wziąć kogoś ze sobą, to byłbyś nim ty. Poza tym nie

jesteśmy parą biednych awanturników, by czynić tak, jak pokieruje nami własny kaprys. Nie

możemy mieć władzy i chwały bez odpowiedzialności. Nauczenie się tej prawdy zajęło mi całe

lata. Idę być może po własną śmierć, ale ty pozostaniesz tutaj, by rządzić tym krajem, tak

sprawiedliwie jak tylko możesz. Taka jest wola bogów – przerwał na chwilę, popatrzył synowi

prosto w oczy i rzekł: – Nie ufaj w zupełności żadnemu człowiekowi, ale daj więcej wiary tym,

których ja uważałem za wartych zaufania. Nie słuchaj nigdy pochwał, gdyż król przynęca

pochlebców, jak padlina muchy. Zwracaj uwagę na ludzkie uczynki, a nie na ich słowa. Nigdy

nie karaj przynoszącego złe wieści, ani też nie patrz krzywo na tego, który mówi ci gorzkie

słowa, aby ludzie nie bali się mówić królowi prawdy. Żegnaj!

Conan wyciągnął do syna ramiona i uściskali się mocno. Potem Conn przytrzymał lejce i

strzemień, a Conan skoczył na siodło. Przez kilka uderzeń serca postać w płaszczu spoglądała na

wyłaniające się z mroku wieże Tarancji – promiennego klejnotu Zachodu. Potem Conan spał

konia ostrogami i pognał na południowy zachód. Pędził w strumieniach deszczu i pod

rozświetlającymi ciemność piorunami, kierując się ku Argos i morzu. Tak oto najpotężniejszy

wojownik świata wyruszył na swą ostatnią wyprawę.

I trony runą i królestwu,

A wszystko skryje czerń ponura;

Tylko on jeden płynie w dał mglistą,

Ścigając swój los bezimienny.

„Podróże Amry”

„PUCHAR I TRÓJZĄB”

Burza zaczęła się po północy. Pioruny błyskały i migotały w ciężkich chmurach zgromadzonych nad zachodnim horyzontem. Wiatr wył jak stado wilków, zagłuszając ulewny deszcz.

Jednak w portowej karczmie „Puchar i Trójząb” w Messancji, królewskiej stolicy Argos, było

ciepło i jasno. Potężny ogień huczał na kamiennym palenisku, wypełniając nisko sklepioną salę

miłym gorącem. Żeglarze, rybacy i przypadkowi podróżni schwytani przez ulewę siedzieli na

drewnianych ławach przed długimi stołami, pijąc kwaśne argosańskie piwo lub kosztowniejsze

zingarańskie wino. Cały cielak obracał się nad ogniem na skrzypiącym rożnie, a powietrze

przenikał zapach pieczonego mięsa.

Dębowe drzwi otworzyły się z trzaskiem. Niektórzy z obecnych odwrócili się z ciekawości i

ujrzeli olbrzymią postać, owiniętą szczelnie czarnym płaszczem. Przybysz wszedł, a sphywające

po nim strumienie wody utworzyły na podłodze kałużę. Pod czarnym kapturem wędrowca ludzie

w tawernie ujrzeli groźne, błękitne oczy w zbrązowiałej, ogorzałej od wiatru twarzy i srebrną od

siwizny brodę. Obcy zamknął za sobą drzwi, zdjął płaszcz i zaczął wykręcać z niego wodę.

Tłusty, spocony karczmarz z okrągłą, czerwoną twarzą, wycierając dłonie o fartuch podszedł z

pośpiechem, pytając o życzenie przybysza.

–Gorące piwo z korzeniami – mruknął groźny starzec, siadając blisko ognia – i podaj mi

udziec tego cielaczka, którego zapach mówi mi, że jest już gotów. Pośpiesz się, człowieku!

Przemokłem do kości, zmarzłem do szpiku i zgłodniałem jak wilk!

Gdy karczmarz ruszył, by wykonać zamówienie, tęgi rudowłosy Argosańczyk, mocno podpity

winem, wstał ze swego miejsca i stanął przy ogniu, kołysząc się lekko na piętach. Był to

mężczyzna wielki i muskularny, z grubym karkiem i szerokimi ramionami zapaśnika. Jego małe,

świńskie oczka zdradzały w nim zadufanego półgłówka. Z szerokim uśmiechem podszedł do

starca, gapiąc się na jego siwą grzywę i pokryte bliznami policzki. Conan zajęty rozkładaniem

plaszczu na ławie nie zwrócił na niego uwagi.

–Kogo my tu mamy, chłopcy, hę? – odezwał się Argosańczyk grubym głosem.

–Dla mnie wygląda on jak zingarański bukanier, Strabo – stwierdził jego kompan,

stając

tuż obok.

Strabo zmierzył obcego pogardliwym spojrzeniem.

–Niezbyt młody jak na bukaniera – zaszydził. – Siedząc tutaj wygląda raczej jak

stary

pies, a zajął, świnia, najlepsze miejsce w „Pucharze i Trójzębie”! Hej, siwobrody!

Zwlecz swoje

stare kości gdzieś w kąt i pozwól nam trochę się ogrzać.

Conan podniósł gorejący wzrok. Złowrogie ostrzeżenie w spojrzeniu

Cymmerianina tylko

wzmogło złość pijanego Strabo. Dziecinna wściekłość zapłonęła w jego

nabiegłych kwią

oczach, a świńska twarz spurpurowiała.

–Mówię do ciebie, stary! – warknął i machnął nogą, by kopnąć Conana w goleń

ciężkim

butem.

Wszystkie głosy w karczmie nagle ucichły. Strabo był miejscowym osiłkiem i

awanturnikiem.

Kilku obecnych uśmiechnęło się, oczekując dobrej zabawy, gdy Strabo

doprowadzi starca do

wściekłości.

W drugim końcu sali, w mrocznym rogu, siedziała milcząca postać okryta

grubym,

granatowym płaszczem i w szerokim kapeluszu nasuniętym głęboko na twarz.

Człowiek ten

pochylił się teraz do przodu, z zainteresowaniem obserwując zwadę.

Conan skoczył jak rozdrażniony tygrys. W pierwszej chwili siedział gładząc

parujący w ciepłe

płaszcz, w następnej błyskawicznym ruchem kościstej dłoni chwycił i ścisnął jak

cęgami potężne

udo Strabo. Drugą ręką złapał go za byczy kark, po czym poderwał ciężkiego

mężczyznę w górę

i cisnął nim przez całą salę. Ciało Strabo uderzyło o ścianę z siłą, która

wstrząsnęła budynkiem, i

bezwładnie jak wór zważyło się na podłogę. Przez karczmę przeszedł szmer

zdumienia.

Po chwili Strabo, z twarzą jeszcze bardziej spurpurowiałą, stanął ślaniając się na

nogach.

Rycząc przekleństwa ruszył przez salę z rozpostartymi rękami.

Conan wyszedł mu na spotkanie. Żelazna pięść Cymmerianina niczym młot uderzyła brzuch

napastnika. Powietrze wyleciało z sykiem z ust Strabo, a twarz mu zszarzała.

Argosańczyk zgiął

się w pół z bólu, a wtedy drugi cios Conana trafił go w twarz. Rozległ się trzask, od którego

obecnych przeszły ciarki. Uderzenie to rzuciło Strabo w tył, na podłogę. Conan podszedł do

niego i wepchnął nogą prosto do ognia.

Węgłe rozleciały się, płomienie przygasły. Zabrzmiał przeraźliwy skowyt. Kompani pokonanego zerwali się z miejsc i wyciągnęli go z paleniska. Głowa Strabo zwiślała bezwładnie, a

jego ubranie dymiło. Krew z rozbitego nosa i zmiżdżonych warg spływała po brodzie i wsiąkała

w kubrak. Conan nie obejrzał się nawet, gdy Argosańczycy wynosili z sali swego nieprzytomnego kompana. Gdy wyszli, karczmę wypełnił chór rubasznych śmiechów, gratulacji i

komplementów. Conan zbył je lekkim uśmiechem i sięgnął po kufel piwa z korzeniami, które mu

akurat podano. Gdy pił aromatyczny, parujący napój, grzmiący okrzyk zagłuszył gwar w izbie:

–Na młot Thora i ognie Baala, jest tylko jeden człowiek w trzydziestu królestwach, który

mógłby w ten sposób rzucić o ścianę tego tłustego durnia! To jest... Czy to możliwe?

Tłum rozstąpił się, jak woda przed dziobem okrętu, gdy rudobrody olbrzym siedzący przy

jednym ze stołów wstał i śmiało podszedł do Conana. Człowiek ten miał na sobie wspaniałą,

złotem obszywaną, szkarłatną kaftan. Złote kolczyki zwiślały mu z uszu po obu stronach łysej

głowy. Na brzuchu, za pasem z przepysznej jedwabiu, tkwiły sztylet oraz stalowa pałka, którą

można było rozwalić łeb wołu. Ciężki kord wisiał mu u boku, a buty ze wspaniałej kordowańskiej skóry okrywały do kolan grube nogi.

Conan obrzucił spojrzeniem spotniałą twarz z bystrymi, błękitnymi oczyma, skrzącymi się

pod rudymi, krzaczastymi brwiami i zawołał radośnie:

–Sigurd z Vanaheimu, na szkarłatne wnętrzości piekieł! Sigurd Czerwonobrody!
– ryknął

chwytnąjąc tęgiego żeglarza w ramiona. – Ty stary, gruby morsie!

–Amra z „Czerwonego Lwa”! – wykrzyknął Sigurd.

–Sza! Powstrzymaj język, beko wielorybiego tranu! – syknął Conan. – Mam powody, by pozostać bezimiennym.

Sigurd skinął głową i zniżywszy głos mówił dalej:

–Na piersi Badab i szpony Nergala, upiecz moje brzuch, jeśli twój widok nie rozgrzał serca starego żeglarza!

Uściskali się znowu jak rozsierdzone niedźwiedzie, po czym przeszli na bok, okładając jeden drugiego szturchańcami, które zwałyby z nóg mniejszych mężczyzn.

–Sigurd, na Croma! Siądź i wypij ze mną, stary wielorybie! Karczmarzu! – zagrział

Conan. – Dzban piwa i gdzie jest ten przeklęty udziec?

–Na złoty miecz Mitry i milową włócznię Woduna, przez te trzydzieści lat nie zmieniłeś się ani trochę! – powiedział Sigurd, kiedy spełnili toasty. Przeciągnął purpurowym mankietem przez porośnięte szczeciną usta i czknął potężnie.

–Nie zmieniłem się, ty kłamliwy, stary hultaju? – zachichotał Conan. – To dlaczego, trzydzieści lat temu, jednym ciosem pięści mogłem przetrącić kark, a teraz już tylko łamię szczękę? – westchnął ciężko. – Ojciec Czas ściga nas bez litości i w końcu dopnie swego... Ty się także zmieniłeś, Sigurdzie. Ten gruby brzuch był płaski jak pokładowa deska, gdy widzieliśmy się ostatni raz. Pamiętasz, jak utknęliśmy za Bezimienną Wyspą, nie mając nic prócz szcurów w ładowni i kilku cuchnących ryb w dziurawej beczce.

–Tak, tak – roześmiał się tamten, ocierając łzy wzruszenia. – Niech będzie przeklęty mój brzuch! To prawda, zmieniłeś się, stary Lwie! Nie było wtedy srebra w twojej czarnej grzywie.

Tak, tak, obaj byliśmy młodzi i pełni wigoru. Ale niech mnie utopia! Słyszałem od jednego z Bractwa, że królowałaś nad jakimś śródlądowym królestwem? Brythunią, czy inną Koryntią? Nie mogę sobie przypomnieć którym. Ale na szczęki Molocha i zielone wąsy Lira, cieszy mnie, że cię znów widzę po tych wszystkich latach!

Nad gorącą pieczenia i piwem z korzeniami dwaj starzy druhowie długo jeszcze snuli wspomnienia. Wiele lat temu, kiedy Conan był członkiem Czerwonego Bractwa z

Wysp

**Barachańskich, archipelagu leżącego na południowy zachód od wybrzeży
Zingary, on i**

**rudowłosy Sigurd byli wielkimi przyjaciółmi. Ich ścieżki długo się nie rozdzielały.
Teraz**

**spotkanie starego kompana stało się dla samotnej duszy Cymmerianina tym,
czym mocne wino
dla ciała.**

**–Kiedy więc obudziłem się – zakończył swoją opowieść Conan – napisałem
rozporządzenie o abdykacji na korzyść mojego syna, który będzie teraz rządził
jako Conan II. Na**

**Croma! Nie było nic, co trzymałoby mnie w Tarancji. Dwadzieścia lat rządzenia,
ustanawiania**

**praw i wytargowywania traktatów pozostawiło po sobie gorzki smak w moich
ustach. Dawno**

**temu pokonałem wszystkich sąsiednich królów, którzy mieli ochotę pokłócić się
ze mną. Odkąd**

**upadli Czarni Adeptci, nie trafiła się żadna prawdziwa wojna. Omal nie
rozchorowałem się od**

tego pokoju i dobrobytu!

Na chwilę Conan pogrążył się w zadumie, wpatrując się w swoją przeszłość.

**–Prawda – westchnął – Aquilonia jest piękna i zielona, a ja starałem się być dla
niej**

**dobrym królem. Odeszli jednak moi starzy przyjaciele. Publius, kanclerz, który
umiał zyskać trzy**

sztuki złota tam, gdzie wyłożył jedną. Trocero, który pomógł mi zdobyć tron.

Pallantides,

**generał, który zawsze wiedział, co zrobi jego wróg, zanim ten sam zdołał na to
wpaść. Wszyscy**

**odeszli. Kiedy zaś moja Zenobia zmarła dając mi córkę, powietrze Tarancji stało
się dla mnie**

nieznośne.

Prychnął i przełknął łyk piwa.

**–Wszystko było w porządku, gdy chłopiec był jeszcze mały. Cieszyłem się ucząc
go, jak**

**używać haku, miecza i włóczni, konia i rydwanu. Teraz jednak już wyrósł i będzie
żył własnym**

**życiem, bez cienia zrządzającego starca, snującego mu się za plecami. Epemitreus
nie musiał mnie**

**wzywać. Nadszedł czas ruszyć po ostatnią przygodę. Na Croma, zawsze
przerażała mnie myśl o**

**umieraniu w łóżku, w towarzystwie szepczących medyków i dworaków robiących
głupie miny.**

Potrzebne mi ostatnie pole bitwy, na którym mógłbym paść. To wszystko, o co prosiłem bogów.

–Tak, tak – zgodził się z nim Sigurd i pokiwał głową, a odbłyśki ognia zamigotały w jego złotych kolczykach. – Podobnie jest i ze mną, Lwie. Chociaż nigdy nie dostałem z ręki losu

korony ani królestwa, to i tak porzuciłem korsarstwo lata temu. Pływałem ostatnio statkiem

handlowym pomiędzy Messancją i Kordową. Czy możesz sobie wyobrazić Sigurda Rudobrodego, postrachu kupców, kupczącego? – Jego wielki brzuch zatrzęsł się od śmiechu. –

Ale to nie było z tego najgorsze. Tak jak ty, Lwie, i ja ustatkowałem się z jedną kobietą. Była

wspaniała. Musiała mieć trochę piktyjskiej krwi w żyłach. No cóż, wychowaliśmy kupę

wrzaskliwych berbeci. Teraz są to chłopcy wielkie jak ja. Ona zmarła kilka lat temu, niech Frigga

pobłogosławi jej dzielne serce. Nasze szczenięta wyrosły i poszły na swoje, cóż więc zrobić ze

starcem, który nie umarł, hę? No więc kiedy wyprawilem z domu ostatnie dziecko, sprzedałem

wszystko. Teraz jestem w powrotnej drodze do Tortagi, by po raz ostatni posmakować życia,

zanim nadejdzie najdłuższa noc. A co z tobą, Lwie? Ruszaj ze mną, człowieku, wrócimy na

piracki pokład. Niech Set porwie te upiorne proroctwa! Płynmy do Stygii plądrować Khemi o

czarnych murach! Ugrzęzłem jak szczur lądowy, ale teraz albo obaj dostaniemy włóczyniami we

flaki i przejdziemy jako herosi do sag, albo nagramy więcej złota niż Tranicos, Zorano i

Strobaki razem wzięci! Hę, co na to powiesz, przyjacielu? Pomiędzy nich padł nagle czyjś cień.

Conan spojrział w górę kładąc rękę na głowicy miecza.

–Poszukujecie statku, panowie? – powiedział półgłosem mężczyzna w szerokim, osłaniającym twarz kapeluszu. Cymmerianin przyjrzał mu się podejrzliwie, nieznajomy zaś

usiadł koło nich i położył dłonie na stół, tak by było widać, iż nie trzyma w nich broni. – Tak się

złożyło, że słyszałem to i owo z waszej rozmowy – ciągnął intruz łagodnie. – Proszę,

wybaczcie mi to natręctwo, ale jeśli poświęcicie mi kilka chwil, myślę, że możemy omówić

pewien wzajemnie korzystny interes.

Sigurd spoglądał niepewnie, ale i z ciekawością. Conan wysłuchał mężczyzny bez mrugnięcia

okiem. – Mów zatem – zgodził się Cymmerianin.

Tamten skłonił się uprzejmie.

–O ile nie zrozumiałem źle, obaj jesteście starymi żeglarzami, myślącymi o nabyciu statku i

powrocie do zawodu na... hm... pirackich wyspach? Nie, nie obawiajcie się niczego – podniósł

uspokajająco dłoń. – Nie jestem szpiegiem, ale mógłbym wam pomóc nabyć odpowiedni statek.

Szybko, jak ruch atakującego węża, ręka obcego znikła wśród fałdów płaszcza i pojawiła się

znów, by wysypać na stół pełną garść migoczących klejnotów. W świetle ognia zabłysł przed

nimi iście książeący skarb. Były tu szafiry, błękitne jak południowe morza, szmaragdy, jak

pałające w ciemności kocie oczy, topazy, żółte jak skóra Khitajczyków, oraz rubiny, szkarłatne

niczym świeżo rozlana krew.

Conan, nie wzruszony, spojrział gniewnie na obcego.

–Wpierw – warknął – chciałbym wiedzieć, kim jesteś?! Niech mnie diabli, ale nie wezmę

podarunku od człowieka, który ukrywa swą twarz tu, w Messancji, gdzie strażnicy króla Cassio

snują się na każdej ulicy, czyniąc to miasto bezpiecznym aż do obrzydliwości.

Obcy odpowiedział z uśmiechem:

–Dziękuję ci za niezamierzony komplement, żeglarzu! Ukrywam twarz ze słusznego

powodu, jako że lud Argos zna ją aż nadto dobrze!

–Mów zatem, jak się nazywasz! – syknął Conan. – Bo rzucę tobą przez salę, tak jak

tamtym półgłówkiem.

–Przyjemnie było patrzeć, z jaką swobodą to uczyniłeś – roześmiał się tamten i

wyprostowawszy się rzekł łagodnie: – Wiedz zatem, Conanie z Aquilonii, że jestem Cassio, król

Argos!

Conan chrząknął zdziwiony. Obcy wyciągnął przed siebie rękę i przekręcił na palcu pierścień,

którego diamentowe oko ukryte było dotąd we wnętrzu dłoni. W świetle ognia zabłysł wyryty w

kamieniu starożytny herb argosańskiej dynastii.

Czarne fale łamią się o mokry, czarny brzeg

**Lecz za nic nam i grzmot
i bogów burzy ryk
choć trzeszczy pokład,
my czekamy na świt.
Głosem mewy się skarży przeklęty duch,
na fale co zmyły go w toń
Lecz za nic nam to,
bo póki wino jest w dzbanie,
my ciągle czekamy na świt!
„Szanta barachańskich piratów”**

SZKARŁATNA TORTAGA

Tortaga wyla do gwiazd. Piracki port w skalnej zatoce jaśniał od świateł i rozbrzmiewał zawodzącymi pieśniami. To ucztowało Czerwone Bractwo. Wysokie karaki i wąskie karawele kołysały się na cumach wzdłuż kamiennego nabrzeża i drewnianego mola. Każda piwiarnia, winiarnia czy zamtuz robiły dziś znakomite interesy. Połowa korsarzy Morza Zachodniego szalała po ulicach Szkarłatnej Tortagi. Jedni z sakiewkami pękającymi od złota i brzuchami bulgocącymi od piwa i wina. Inni wydawali ostatnie miedziaki. Szyldy winiarń ozdobione czaszkami, pochodniami, skrzyżowanymi szablami, smokami, gryfami, koronowanymi głowami czy innymi godłami łomotały na ostrym morskim wietrze. Przybój huczał rozbijając się u stóp urwiska. Słone bryzgi leciały z wiatrem od portu, rozchlapując się o mury i dachy domów z żelaznymi kratami na oknach. Już ponad dwa wieki małe miasteczko w zatoce otoczonej urwiskiem było stolicą królestwa piratów, pustoszących morza pomiędzy krajem Piktów i Kush. Jedynym prawem była tu pięść, nóż, miecz i bojowa zręczność. Tej nocy miasto zionęło radością i śpiewem. Pirackie pojedynki o obrazę rzeczywistą, czy zmyśloną, wybuchały na ulicach raz po raz. Natychmiast pierścień mężczyzn gromadził się dookoła walczących, którzy zadawali sobie śmierć za przypadkowy kuksaniec, błąhą obrazę czy przychylność jakiejś kołyszącej biodrami dziewczki. To była pamiętna noc. Dwa słowa były na wszystkich ustach: Amra wrócił! Trzydzieści lat nie pogrzebało w zapomnieniu tego złowieszczonego imienia. Przeciwnie, przemijający czas dodał świeżego blasku do legend z tamtych dni, kiedy Conan żeglował wraz z Belit z Shem, Czerwonym Otho czy okrutnym Zaporavo z Zingary. Przez kilkanaście lat statki Cymmerianina: galera „Tygrysica”, karawela „Czerwony Lew” i karaka „Nicpoń”, przemierzały morza, powracając ciężko wyładowane skarbami.

Przez ten czas Amra, jak zwali Conana piraci, wznosił się wysoko wśród kapitanów Czerwonego Bractwa. Potem zaś zniknął gdzieś wewnątrz lądu i nie słyszano o nim więcej na oceanie. Opowieści i legendy dochodzące z wewnętrznych królestw mówiły o niezwykłym królu-wojowniku imieniem Conan, w którym tylko kilku starszych żeglarzy rozpoznawało pirata z minionych dni. Tak to Amra stał się cieniem z zatartej przeszłości. Lecz teraz Amra był znów pośród nich. Płomyki pochodni migotały i skrzyły się na kolczudze okrywającej jego masywny tors, a wielki czarny płaszcz łopotał mu na plecach, niczym skrzydła drapieżnego ptaka.

Conan stał na kamiennej ławie na środku głównego placu Tortagi, a jego głos wznosił się jak grzmot trąby ponad pomruk tłumu. Głos ów napełniał serca słuchaczy echem wspaniałych czynów i chwałą bitew stoczonych dawno temu i przyrzekał nowe tryumfy. Cymmerianin ogłaszał zaciąg na wyprawę w głąb Morza Zachodniego. Do wnętrza wiatrem wychłostanych morskich pustkowi, gdzie żaden statek nie zapuścił się za ludzkiej pamięci. Któż jak nie Amra śmiałyby marzyć o takiej przygodzie?

Słuchali z rozdziawionymi ustami, upajając się magią zawartą w słowach Cymmerianina. Conan przyrzekał im złoto i klejnoty, bogactwo i chwałę, sławę. Mówił o wielkiej podróży w Nieznane, przez niezbadane morza, pomiędzy zapomniane wyspy i dziwnych ludzi. Ryzykując życie pośród głębokich bezimiennych mórz, mieli powrócić stamtąd nie jako pozbawieni praw hultaje, lecz jako legendarni herosi, których nieśmiertelna sława uwieczniona w pieśniach i opowieściach trwać będzie przez wszystkie nadchodzące stulecia. W porcie na kotwicy stał statek Amry – mocny, potężny karak, zwany „Czerwony Lew”, tak samo jak karawela Cymmerianina z dawnych czasów.

Conan nie wyjawiał im całej prawdy. Nie powiedział o królu Argos, Cassio, za którego klejnoty kupiono ten statek. Nie wspomniał też o Czerwonych Cieniach i zjawie

Epemitreusa.

Strach zabrał bowiem nie tylko kilkuset poddanych Conana. Tajemnicze przekleństwo spadło

również na mieszkańców Argos. Nadworny czarodziej króla Cassio i jasnowidze wyczytali z

gwiazd wróżbę. Otworzyli dawno nie ruszaną księgę wiedzy magicznej i oznajmili, że Czerwony

Cień atakuje z jakiegoś tajemniczego królestwa leżącego za niezbadanym Oceanem Zachodnim.

Przenikliwy król Argos wysłał statek za statkiem na Morze Zachodnie, ale żaden z nich

nigdy nie powrócił z rozwiązaniem tajemnicy. Wreszcie królewskich marynarzy i kapitanów

zaczęło ogarniać przerażenie na samo wspomnienie o wyprawie na zachód. Czerwony Cień nadal

jednak uderzał i porywał ludzi, a królestwo stanęło na krawędzi buntu.

Tak to, krążąc w przebraniu po ulicach Messancji, król Cassio szukał zuchwałego kapitana,

który podjąłby się tej wyprawy. Znalazł takiego człowieka w osobie Conana Cymmerianina,

którego tożsamość szybko odgadł, ale był zbyt roztropny, by zdradzić ten fakt. Pośród tłumu było

kilka twarzy znanych Conanowi z dawnych pirackich dni i do nich zwracał się przede wszystkim.

Jeden gigantyczny, szczerzący białe zęby Kuszyta przyciągnął wzrok Cymmerianina. Ramiona

Murzyna błyszcząły jak naoliwiony heban w świetle pochodni, a masę kręconych, czarnych

włosów przetykały szare pasma.

–Ty mnie znasz, Yasunga! – zawołał Conan. – Byłeś wtedy młodzieńcem, kiedy wędrowałem przez Czarne Wybrzeże u boku twej zuchwałej pani, Belit. Co z tobą? Przyłączysz

się do mojej wyprawy?

Yasunga podniósł ręce z okrzykiem radości.

–Jo, Amra! Amra! – zaryczał upojony starymi wspomnieniami.

–Do tyłu, czarny psie! – warknął ktoś pogardliwie i szczupła postać o zawziętej twarzy

przepchnęła się przed Murzyna. Mężczyzna ten zwrócił się do Conana i utkwiał w nim swe zimne

i pełne jadu oczy.

Conan spojrzał na intruza spod przymrużonych powiek, obejmując wzrokiem bladą twarz ze

smolistymi brwiami i wąskimi ustami, żylaste ciało w napierśniku z inkrustowanej

złotem,
polerowanej stali oraz wąską dłoń, otoczoną gąszczem koronek, pieszczącą
wytartą rękojeść
długiego, abordażowego rapiera.
Miękkim głosem, z zingarańskim akcentem mężczyzna zawołał do tłumu:
–Wracajcie do swych nor, psy! Czyż chcecie wysłuchiwać tego pomyłonego,
starego głupca,
który pojawił się tu nie wiadomo skąd, by wabić was na szaleńcze wyprawy w
nieznane? Może
być, że to ten sam Amra, o którego wyczynach słyszeliśmy, a może nie. Któż to
wie? Amra, czy
nie, ten bałamutny stary wilk przybył do nas, by zniszczyć Bractwo. Cóż
obchodzą nas przygody
i chwała? Jesteśmy praktycznymi ludźmi, zarabiającymi na życie z morza, a nie,
do jedenastu
szkarłatnych piekieł, herosami zamroczonymi marzeniami! – Spojrzał pogardliwie
na Conana i
warknął: – Nie szukaj sposobu, by zwabić mojego nawigatora, Yasungę, na swój
pokład, siwy
psie. Wyuczyłem go wiedzy o słońcu i gwiazdach i na Mitrę, zostanie ze mną,
Czarnym Alvaro z
„Sokoła Zingary”! Zatem podnieś kotwicę i zabierz swój tyłek do jakiegoś innego
portu marzeń,
skąd go przyholowałeś. My tu nie mamy czasu na tobie podobnych szaleńców.
Alvaro zaczął odwracać się, by przejść poprzez szemrzący tłum, gdy Conan
powstrzymał go
wybuchem śmiechu i splunięciem pod nogi.
–Czy to ja mam być tym starym, siwym psem, ty zniewieściały eleganciku,
wypatroszony
pętaku z bezimiennych rynsztoków Kordowy? Byłem kapitanem Bractwa, kiedy ty
rzygaleś
jeszcze zsiadłym mlekiem twojej matki. Ja rzucałem złoto z tuzina miast na ulice
Tortagi, gdy ty
gmeraleś w rozporku na tyłach zingarańskiego zamtuza. Jeśli nie masz odwagi na
prawdziwą
wyprawę, wracaj z powrotem do swej cuchnącej budy. Tutaj są inni, mający
więcej męskości w
jednej ręce niż ty w całym ciele. Mówię do nich, nie do ciebie. Prawda, jestem
stary, ale
pamiętam jeszcze jedną czy dwie sztuczki, które ci z przyjemnością pokażę, jeśli
zechcesz.
Czarny Alvaro odwrócił się z przekleństwem, a jego rapier zabłysnął jak ognista
igła. Tłum

wrzeszcząc uformował się w pierścień.

Conan odrzucił na bok wydęty wiatrem płaszcz i sięgnął po swój aquiloński miecz.

Lecz

zanim ostrze zdołało opuścić pochwę, Alvaro pchnął rapierem z tancerską gracją.

Stalowy szpic śmignął przed twarzą Conana, ale on kopniakiem odtrącił ostrze i

zeskoczył z

ławki. Miecz zaśpiewał sykliwie i dźwięcząc jak dzwon, spotkał zingarański rapier.

Muzyka stali

zabrzmiała wśród szumu wiatru. Przeciwnicy okrążali się, posuwali naprzód,

cofali, cięli,

parowali i zadawali pchnięcia. Pochodnie rzucały ich rozedrgane cienie na mury

najbliższych

domów.

Ludzie wstrzymywali oddechy, gdyż Alvaro z „Sokoła” był uważany za

najlepszego

szermierza Bractwa, siwy Amra zaś był niewiadomym przeciwnikiem. Wszyscy

szacowali jego

ogromną masę i potężne członki przeciw szczupłej postaci i zwinności

Zingarańczyka. Stawiali

zakłady podnieceni zmieniającymi się szansami.

Alvaro prędko stwierdził, że jego ostrze nie może przebić się przez zastawy

Conana. Wielki,

szeroki miecz tworzył ruchliwy pancerz, mimo iż powinien być zbyt wolny i

nieporęczny w

walce przeciw lekkiemu ostrzu rapiera. Jednak we wprawnych rękach Conana

miecz poruszał się

tak lekko, jak wierzbowy różga, a na zawziętej twarzy starego Cymmerianina nie

było ani śladu

zmęczenia wagą broni. Ramię Conana wydawało się równie nieznużone, jak

żelazna sztaba.

Pot załśnił na czole Alvara, popłynął po jego wąskich wargach i ściekał po szyi.

Zingarańczyk

wiedział, że jeśli ostrze jego rapiera napotka tamto lecące pełną szybkością, to

zostanie

strzaskane na kawałki.

Conan jednak nawet nie próbował wykorzystać ciężaru swego miecza. Wciąż

tworzył przed

sobą lśniący mur ze stali, przez który nawet czubek zingarańskiego ostrza nie

mógł się

przecisnąć. Od czasu do czasu Conan śmiał się radośnie z głębi serca. Bawił się

coraz bardziej

zmęczonym Zingarańczykiem, aż Alvaro uświadomił sobie z przerażeniem, że w

każdej chwili

Cymmerianin może odbić w bok jego ostrze i po prostu przeciąć go na pół.

Tłum idąc za przykładem ogromnego Kuszyty, Yasungi, rozpoczął monotony zaśpiew, który

wkrótce podjęło setki gardeł, aż w końcu całym placem wstrząsnął jeden, pulsujący grzmot:

–Amra! Amra! Amra!

Krzyk podnosił się i opadał, huczając jak fala przyboju. To do reszty rozstroiło nerwy Alvaro.

Pirat jedną ręką sięgnął za siebie, pod czarną opończę z aksamitu. Tam tkwił wsunięty za pas

shemicki sztylet o falistej klindze. Palce objęły rękojeść i wyciągnęły ostrze, tak że stał ułożyła

się wzdłuż przedramienia.

Wtedy oderwał się od przeciwnika i cofnął kilka kroków. Stał zdyszany i potargany. Conan

błysnął ostrzem miecza ostatni raz i opuścił je.

–Masz dość, zingarański parobku? – warknął stary Lew.

Sztylet mignął w świetle pochodni, lecąc przez ciemną przestrzeń pomiędzy przeciwnikami,

ku nagiemu gardłu Conana. Pewnym ruchem lewa ręka Cymmerianina uniosła się i schwyciła

sztylet za rękojeść, wyłapując go w locie.

Tłum zawył z zachwytu. Wszyscy słyszeli legendy, że górale z bajecznej krainy na wschodzie

zabawiają się pomiędzy sobą w podobny sposób, wyłapując lecące ku nim noże, ale nikt dotąd

tego nie widział. Nikt nie wiedział, że Conan spędził długie lata na stepach Hyrkanii, na

wybrzeżach Morza Vilavet i wśród potężnych Gór Himeljańskich, że będąc najemnikiem,

przywódcą nomadów i piratem na wewnętrznym morzu, stał się mistrzem w posługiwaniu się

łukiem Hyrkaniańczyków, ostrym tulwarem Zuagirów, rozwidlonym nożem Zhaibarów i innymi

rodzajami wschodnich broni.

Głębokie przerażenie zaszklilo oczy Alvaro. Powietrze zaczęło go dusić. Rozerwał koronki

kołnierza pod szyją i stał niepewny, jakby nie wiedział, co teraz nastąpi. Napięcie wzrastało

niczym napinająca się niewidzialna cięciwa.

Conan zwrócił nóż, który błysnąwszy w powietrzu, zatonął po rękojeść w obnażonym gardle

Alvaro. Zingarańczyk stał przez chwilę na chwiejnych nogach, z twarzą bladą jak

talerz zsiadłego

**mleka, a krew ściekała po jego wypolerowanym pancerzu. Wreszcie padł z
brzękiem stali na
bruk.**

Conan podrzucił miecz w górę, schwycił go i wsunął do pochwy.

Tłum oszalał.

–Amra! Amra! Amra!

Tam Kraken mieszka, co przez wieki rósł

z gnijących okruchów mułu,

i z ziemi co od wieków trwa

pod szarym, pełnym smoków morzem.

„Proroctwo Epemitreusa”

CZARNY KRAKEN

„Czerwony Lew” był o trzy dni drogi od Wysp Barachańskich, kiedy załoga dostrzegła

zieloną galerę.

Świtem trzeciego dnia, nagi do pasa, ale z mieczem u boku, Conan stał na rufowym pokładzie

oddychając głęboko słonym wiatrem. Wschodzące słońce załało złocistymi promieniami wschód

i rozpalało długie, rzadkie chmury. Rześki północno-wschodni pasat śpiewał w takielunku i

wybrzuszał szerokie żagle nad głowami krzątającej się załogi.

–Hej, Amra! Wstałeś równo ze świtem, he! – zahuczał głęboki głos.

Conan obrócił się i zobaczył Sigurda stojącego w rozkroku przy burcie i ryczącego śmiechem

w napadzie dobrego humoru. Wiatr rozczochrał płomienne gąszcze jego brody, rozpostarł poły

purpurowego płaszcza, który kiedyś ozdabiał plecy pompatycznego, zingarańskiego admirała.

Conan uśmiechnął się na widowisko, jakie robił z siebie prostoduszny żeglarz z Północy.

Złota nić, pokrywająca niegdyś jego płaszcz kosztownymi haftami, była już przetarta i straciła

połysk. Kilka z wielkich guzików z kości słoniowej przepadło. Szarfa najeżona pół tuzinem

sztyletów jak zwykle opasywała potężny brzuch Sigurda, podtrzymując jeszcze maczugę i

olbrzymią zakrzywioną szablę z poszczerbionym ostrzem. Pod płaszczem stary Vanir nosił

połataną białą bluzę, poznaczoną plamami od wina i tłuszczu, która rozchełstana do pępka

ukazywała czerwone, szczeciniaste włosy porastające jego pierś. Jaskrawa chusta owinięta była

dookoła łysej głowy, a połyskujące złote kółka chygotały się u płatków uszu.

–Ach! Na róg Hemidala i zasłonę Tanit, toż to jest ranek godny samych bogów, czyż nie,

Lwie? – odezwał się znów Sigurd. – To jest jak stare wino; być znów na morzu z dobrym

pokładem pod piętami i z szelmowską załogą podrzynaczy gardeł, którzy na zawołanie napelnią

krwią dziewięć mórz!

–Aye! – odkrzyknął Conan. – To mocny statek, a na nim mnóstwo wytrawnych łotrów!

Spojrzał w dół na śródokręcie, gdzie załoga szorowała pokład” i wykonywała inne marynarskie prace. Legenda Amry zapewniła komplet załogi. Była to setka zaprawionych w bojach morskich wilków, spragnionych łupów i chwały. Tworzyli różnorodną gromadę, cuchnącą dziegciem i kwaśnym winem, ale stanowili samą śmietankę piratów ze Szkarłatnej Tortagi.

Najwięcej było Argosańczyków – mężczyzn średniej wagi i mocnej budowy, o brązowych lub brunatnych włosach. Pomiędzy nimi krzątało się wielu śniadych i czarnobrewych Zingarańczyków. Byli tu też ludzie z Ophiru i Koth, kilku ciemnych Shemitów o haczykowatych nosach, z czarnymi, wpadającymi w błękit włosami i brodami oraz dwóch ogromnych, brązowoskórych Stygijczyków o sokolich rysach. Był krępy, jasnowłosy Zaproskanin – Yakov, mistrz łuku, i oczywiście nawigator Yasunga, czarny gigant z dżungli Kush.

Największe wrażenie jednak robił czerwonoskóry mężczyzna z kręconą brodą – Goram Singh z Venedhi, krainy leżącej tak daleko na wschodzie, że nawet Khitajczycy myśleli, że opowieści o niej to tylko legendy. Wszyscy oni: biali, brązowi, czerwoni czy czarni, byli doskonałymi żeglarzami.

Ostre spojrzenie błękitnych oczu Sigurda zatrzymało się na twarzy Conana. –A teraz, powiedz, jaki masz plan, przyjacielu? Wspaniałe słowa i obietnice bogatego łupu to nie wszystko. Czego właściwie będziemy poszukiwać na Oceanie Zachodnim i dokąd dopłyniemy? Już trzy dni jesteśmy w drodze i nie wypatrzyliśmy nic prócz kilku wielorybów.

–To wie tylko Crom, nie ja! – odparł Conan. – Słuchałem ludzi mówiących o zatopionym kontynencie i legendarnych wyspach tam, gdzie słońce zachodzi. Ze słów wypowiedzianych przez cień Epemitreusa i rad astrologów króla Cassio wynika, że powinniśmy płynąć na zachód, bacząc na wszystko, co wyda nam się niezwykle lub nieprawdopodobne. Niech mnie diabli, Sigurdzie, ale mam nadzieję, że znajdziemy kolebkę Strachu! Smak morskiego życia sprawił, że poczułem głód walki. Pokój jest piękny, ale... – Conan wy dobył miecz z pochwy i

ciął

powietrze ze świstem głośniejszym niż szum wiatru.

Czerwonobrody wybuchnął basowym śmiechem, który zatrzęsł jego wydatnym brzuchem, po

czym uniósł krzaczaste brwi spoglądając na Cymmerianina.

–Ho! Ho! Więc to w tę stronę wiatr wieje! Jesteś ciągle przebiegłym, twardym szelmą,

jakiego dawniej znałem. Czy kiedy pokonamy ten wrogi cień, zawrócimy ku bardziej

zyskownym okolicom? Jest wielu grubych kupców w Messancji i byłoby dobrym żartem

plądrować statki Argos dzięki okrętowi kupionemu przez ich własnego króla, czyż nie?

Conan uśmiechnął się okrutnym, cynicznym uśmiechem i klepnął Sigurda po ramieniu.

–Jesteś taki sam złodziejski stary mors jak dawniej! Nie, to już nie dla mnie.

–Nie mów mi, że przez te wszystkie lata powróciłeś do uczciwości!

Conan roześmiał się złowrogo.

–Na pewno nie ja! Jednak byłem królem i nie bawi mnie smak drobnego złodziejstwa. Poza

tym, Cassio nigdy nie przyczynił mi kłopotów, dlaczego ja mam mu je sprawiać? Conn też ma

dość problemów strzegąc granic przed sąsiednimi królestwami. Nie dołożę mu do tego

wszystkiego jeszcze wojny z Argos.

–Zatem... czy zamýślasz dać łupnia Stygijczykom, tak jak proponowałem, gdyśmy się

spotkali w Messancji? To okrutny i twardy naród, ale z taką załogą na pewno możemy...

Conan potrząsnął przecząco głową.

–Nawet i nie to. Bądź co bądź, byłem już królem korsarzy i zdobyłem krwawą sławę

kilkadziesiąt lat temu. Dlaczego miałbym się raz jeszcze wspinać na ten sam szczyt?

–Cóż więc zamierzasz? – mruknął zniecierpliwiony Sigurd. – Gadaj, człowieku, na wszystkie płomienie piekieł!

Conan wyciągnął rękę i wskazał sękatym palcem horyzont.

–Daleko na zachodzie, przyjacielu, jest coś, o czym nic nie wiemy. Czerwony Cień jest tego

częścią. Ze wzmianek w starych manuskryptach wiem, że pochodzi z pradawnych czasów –

nagły śmiech zahuczał w piersi Conana. – Przedstaw mnie sobie jako uczonego.

–Łatwiej byłoby mi wyobrazić sobie jedną ze ślicznych tancerek z haremu Cassio

jako

krwawego pirata!

–No cóż, przeczytałem kilka rękopisów, a w królewskiej bibliotece w Tarancji znalazłem

opowieść o tym, jak ocean pochłoniął Atlantydę osiem tysięcy lat temu. Wielu Atlantów uciekło

wtedy na stały ląd – Thurię, jak nazywali nasz kontynent. Zaś w żelazo oprawna Księga z

Skelos mówi: „Inni uszli z zatopionej Atlantydy ku zachodowi i dotarli do kontynentu, leżącego

naprzeciw Thurii, a będącego granicą Oceanu Zachodniego. Co stało się z tymi uciekinierami,

nie wiadomo, gdyż po zatonięciu Atlantydy szlaki oceaniczne okazały się zbyt długie dla

statków. To wszystko co pamiętam.

–No tak – przyznał Sigurd. – Ja również słyszałem podobne opowieści.

–Jeśli więc przed nami leży ląd pełen potężnych czarowników, będzie to również ląd bogaty

i mocny, gotów do oskubania, niczym gęś o złotym pierzu. Coś w sam raz dla naszych

łotrzyków. Dlaczego mamy się czaić jak głupcy, szukając łupu z kilku statków, kiedy przy

odrobinie szczęścia możemy mieć całe imperium.

Sigurd westchnął i popatrzył zachmurzony na grzbiety swych owłosionych dłoni.

–Ach, Amra, powinienem wiedzieć, że masz w swej twardej czaszce projekt bardziej

szalony i dziki, niż mógłby wymyślić każdy inny człowiek! Jesteś wspaniałą, stary Lwie, masz

na to moje słowo! Choćby ci czarownicy mieli nakarmić nami smoki, będę żeglował z tobą tak

długo, dopóki oceanu wystarczy!

Przerwał i spojrzał nieufnie ku słońcu. Z gniewnym parsknięciem ruszył na rufę, gdzie

jednooki Shemita stał przy rumplu.

–Dosyć, ty garbatonosy psie! Oślepleś, czy jesteś pijany? – ryknął, odepchnął zaskoczonego marynarza na bok i sam chwycił za rumpel. – Zboczyliśmy z

ustalonego kursu o

pół rumba w ciągu ostatniej nocy. Amra! Przekleństwo i zgnilizna na te leniwe świnię!

Barachańskie łotry, na wnętrzości Ahrimana i piersi Iszta!

Zezując na słońce, pchnął rumpel pewnym ruchem. „Czerwony Lew” przechylił się nieznacznie, reagując niczym wytresowany koń i wrócił na kurs.

Wtem z góry rozległ się krzyk:

–Ahoj, żagiel!

Conan poderwał głowę i przemierzył wzrokiem szare, zamglone morze. Nic nie mógł dojrzeć.

–Gdzie?!!! – zahuczał przez złożone dłonie.

–Półtora rumba od lewej burty! – nadeszła odpowiedź ze szczytu masztu.

–Widzę go! – Stary Sigurd znów stał u boku Conana, sapiąc jak konający mors. –

O

jest!... i na wszystkich bogów, wygląda na galerę!

Conan ocienił oczy dłonią i skupił się na wskazanym przez Sigurda punkcie. Tam, ponad

kłębami porannej mgły, widać było dwa nagie maszty. Kiedy „Czerwony Lew” uniósł się na

kolejnej fali, wszyscy na rufowym pokładzie ujrzeli długi, niski kadłub galery.

–Cóż to, na szkarłatne piekła stygiańskich czcicieli Seta! – zagrział Conan. – Co tutaj

robi galera? Musimy być blisko lądu. Żaden szyper z olejem w głowie nie pożegluje tak daleko

od brzegu na takim statku!

Galera była coraz bliżej. Mogli już zobaczyć gładką linię niskiego, zielonego kadłuba. Słońce

migotało na ociekających wodą dwu rzędach wiosel i na wysokim, zakrzywionym dziobie

ozdobionym jakąś dziwną rzeźbą. Poniżej, na poziomie linii wody sterczał długi i ostry

brązowy taran, pozieleniał od patyny i pokryty białymi cętkami skorupiaków.

–Hm, dziwne, Amra – mruknął Sigurd. – Nie powiewa na niej żadna flaga. Mówiłeś, że

mamy szukać czegoś dziwnego...

Conan wzruszył ramionami.

–Co jest na dziobie? – zapytał. Sigurd przyjrzał się bacznie.

–Wygląda to jak czarna chmura z czerwonym środkiem lub czarna rozgwiazda.

Conan spojrzał groźnie na zieloną galerę.

–To nie statek kupiecki, ale wojenna galera z taranem i podwójnym rzędem wiosel.

Pozwólmy jej przejść obok. Mogłaby nas mocno dziabnąć, a nie dać żadnego łupu...

To niezwykle – pomyślał – spotkać taki statek na tych rzadko odwiedzanych wodach...

Odrzucając do tyłu szarą grzywę, Conan zawołał do obserwatora na oku:

–Ahoj! Możesz rozpoznać znak na dziobie?

–Tak, kapitanie. To jakiś stwór, jakby płaszczka z mackami dookoła oczu!

–Sternik! – ryknął Conan. – Dwa rumby na lewą burtę, kurs na galerę. Wszyscy na pokład. Miecze, piki i tarcze, szybko! Przygotować się do zmiany żagli. Łucznicy

na pokład

dziobowy! Yasunga, spotkanie burta w burzę. Zwijąć się, wałkonie. Będzie walka, do której tak

żeście się rwali.

Sigurd spoglądał na niego zbity z tropu.

–Co to jest, w imię Mitry?

–Znak Czarnego Krakena, stary morsie. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

Sigurd poszedł za Conanem do jego kajuty i stał obok, gdy Cymmerianin z pomocą chłopca

okrętowego zakładał kolczugę i sznurował ciężkie buty. Brwi Sigurda zmarszczyły się w

zamyśleniu. Wtem zmarszczki rozluźniły się, ale twarz zbladła.

–Czy masz na myśli – powiedział powoli – te stare opowieści o godle królów-czarowników z Atlantydy?

–Tak. Bierz teraz swój pancerz, zanim tamci rozsmarują twój gruby brzuch po całym

pokładzie.

–Na morskich bogów! – powiedział Sigurd odwracając się powoli. – Kraken Atlantów,

zatopiony osiem tysięcy lat temu... Badab i Isztar! Może to być?

Mimo iż nie był to kupiecki statek wiozący towary, zielona galera zawróciła i zaczęła uciekać

przed „Czerwonym Lwem”. Na każdym z jej dwu masztów zakwitł trójkątny żagiel i wypełnił się

wiatrem. „Czerwony Lew” podążał dokładnie za nią.

Conan wspiał się na maszt i trzymając się jedną ręką, drugą osłonił oczy przed słonecznym

blaskiem.

–Dziwne... – mruknął. – Wszystkie wiosła w ruchu, jednak niech zostaną stygijskim

akolitą, jeśli mogę dojrzeć wiosłarzy na ławach. Wydają się puste, nie ma nawet wojowników,

żadnego nie widać na rufie czy na forkasztelu, nikogo przy żaglach...

Zszedł na pokład, gdzie stali Sigurd i Yasunga.

–Zielony statek z Piekła – odezwał się Yasunga głębokim, dźwięcznym basem. – Statek

duchów, Amra!

–Zamknij się! – warknął Conan. – Statek z piekła czy z ziemi, ucieka tak szybko, jakby

wiózł cesarzową Khitaju z wszystkimi jej skarbami! Spójrzcie, jak rozcina fale! –

Podniósł głos:

–Singh! Wciągnąć rufowy marsel! A jeśli któryś popłacze liny, to obedrę go żywcem ze skóry!

–Znów zwrócił się do Sigurda i Yasungi. – Jest szybki, z dwoma rzędami wiosel i żaglami, ale
my rozwijając wszystkie żagle, możemy go prześcignąć.
–Jest bez eskorty – mruknął Sigurd. – Czy kto słyszał co królewskiej galerze czy statku ze
skarbami pływającym po morzach samotnie?
Żałoga zebrała się na wyznaczonych miejscach. Łucznicy na forkasztelu przeglądali strzały w
kołczanach, by mieć pewność, że żadna z nich się nie wypaczyła. Na śródkręciu uzbrojeni
korsarze zgromadzili się u nadburcia, zapinając pod brodą rzemienie hełmów i ostrząc kordy
osełkami.
–Na Croma! – zagrział Conan. – Dowiemy się, co tak cennego wiozą, że na sam nasz
widok uciekają jak przestraszona dziewczica!
Mężczyźni, podnieceni pościgiem, wznieśli dziki okrzyk. Sigurd, okryty już od karku po uda
karacną z brązowych łusek naszytych na skórę, sapiąc wspiał się na rufowy pokład. Conan
poklepał go po ramieniu.
–Crom i Mitra, stary morski koniu, przedsmak bitwy wzbiera w mym sercu tak, że czuję się
jak stary rumak bojowy węszący krew!
Sigurd uśmiechnął się szeroko i ryknął radośnie głosem, który mógłby przynęcić samicę gryfa
w okresie rui.
–No cóż, Lwie, stary Sigurd mówił o rzeczach, które można znaleźć i proszę, oto są! Czuję
w kościach, że to będzie skarb, jakiego nie widzieliśmy przez całe nasze życie.
–Czyżby? – roześmiał się Conan. – Zatem ruszajmy po niego!
Ze wszystkimi żaglami wypełnionymi wiatrem karaka śmignęła przez fale w pościgu za swoją
ofiara. Dziób rozcinał szmaragdową toń, a biała piana kipiała za rufą. Przed nimi zielona galera
przebierała wiosłami niczym wielonogi owad, natomiast jej dwa trójkątne żagle upodobniały ją
do pradawnego motyla.
Zielona galera opuszcza zachód ukryty.
Znak Czarnego Krakena na jej dziobie wryto.
Pod pełnymi żaglami płynie z bajecznej krainy,
w głębi ciemnej ładowni wiezie piekielne sekrety.
„Podróże Amry”

MAGICZNY OGIEN

Słońce wisiało wysoko na czystym, błękitnym sklepieniu, kiedy „Czerwony Lew” dogonił

wreszcie tajemniczą galerę. Cały ranek zielony statek uciekał przed nimi, jak gdyby jego

wioślarze nie znali ludzkiego zmęczenia. Dystans zmniejszał się stopa za stopą.

Conan, w rogatym, stalowym hełmie i długiej kolczudze, kroczył po pokładzie przeglądając

broń i pancerze swojej drużyny. Potem wspiął się na rufę, gdzie stojący w rozkroku Sigurd

obserwował każdy ruch galery i wykrzykiwał komendy do sternika.

–Rezygnują z ucieczki i zawracają – oznajmił Sigurd.

To była prawda. „Czerwony Lew” niebawem zbliżył się na odległość strzału z łuku. Conan

spojrzał na pokład dziobowy, gdzie za osłoną z wikliny stał łucznik Yakov oczekujący rozkazu.

–Dziwne, Amra – zauważył Sigurd – ciągle nie ma nikogo na pokładzie!

–Tak – zgodził się Conan. – Ale w końcu będą musieli wyjść, by odeprzeć abordaż.

Zwróciwszy się ku dziobowi, Cymmerianin zawołał:

–Wysłać strzałę!

–Aye, aye, kapitanie! – odkrzyknął Yakov i trącił w ramię jednego ze swoich ludzi.

Mężczyzna naciągnął łuk aż do ucha i zwolnił cięciwę z lekkim brzękiem. Strzała zatoczyła łuk

ponad wodą rozdzielającą statki i spadła dziesięć stóp za blisko. Przez krótką chwilę panowało

milczenie i było słycać tylko westchnienie wiatru i plusk fal.

–Wysłać drugą strzałę!

Tym razem pocisk trafił w cel, uderzając w malowane deski nadburcia.

–Salwą! – ryknął Conan.

Aye, aye! – Yakov dał znak łucznikom. Zaraz potem wszystkie łuki wypuściły strzały.

Chmura pocisków ze świstem spadła na cel, znikając w większości za nadburciem tamtego

statku.

Cymmerianin z uwagą przyjrzał się pracy wiosł galery. Taki grad strzał zwykle musiał

dosięgnąć kilku wioślarzy, dezorganizując zgrany rytm wiosłowania, aż do czasu zastąpienia

trafionych ludzi lub wciągnięcia bezużytecznych wiosł.

Lecz na zielonej galerze nic się nie zmieniło.

–Musi mieć zakryty pokład – stwierdził Conan.

–Próbuja nas staranować! – zawołał Sigurd.

–Dobrze. Utrzymaj dziób na wprost ich. Jeśli trafimy dokładnie, to złamiemy im taran.

Vanir zaczął wrzeszczeć na sternika i marynarzy na rejach. Niebawem żagle ustawiono tak, by

wzięły boczny wiatr i statek ruszył wprost na galerę. Tam niewidzialne ręce wciągnęły na maszty nowe płótna.

Galera zakończyła swój manewr i oba statki pomknęły dziobami na siebie. Z rufy Conan miał

doskonały widok na pokład przeciwnika. Nie było tam żywego ducha.

Wtem obcy kapitan najwyraźniej stracił odwagę na widok potężnego taranu „Czerwonego

Lwa” prującego zawzięcie fale i galera wykonała nagły zwrot na lewą burtę, przechylając się

ostro. Byli już o pięćdziesiąt kroków i Conan wyraźnie widział czarną rzeźbę zdobiącą dziób

wrogiego statku, podobną do okrągłej chmury ciemnej mgły, z której środka odchodziły

mackowate wstęgi. Jednak najbardziej niesamowite były szkarłatne oczy płonące wściekłością i

siłą.

Ciągle nikogo nie było na pokładzie. Zielona galera mogła być rzeczywiście statkiem

upiorów.

–Nie ma obserwatorów na masztach! Nie ma nawet sternika – mruknął Sigurd niespokojnie. – Na brodę Mitry, nie podoba mi się to, Amra, ani trochę!

–Yakov! – zawołał Conan. – Niech twoi chłopcy strzelają w otwory wiosłowe! Cięciwy warknęły i zaświstały strzały. Wiele z nich uderzyło w burty wzdłuż

szczelin

wiosłowych, ale dużo więcej, ze względu na krótki dystans, znikło we wnętrzu galery. Nie

rozległ się jednak ani jeden wrzask bólu albo trzask wiosel uderzających bezwładnie o siebie. To

niemożliwe, aby żaden wioslarz nie został trafiony! Galera zawróciła i zaczęła uciekać z wiatrem.

„Czerwony Lew” pośpieszył za przeciwnikiem.

–Yakov! Ogniste strzały! – krzyknął Conan. – Na Croma, dobiorę się tym bękartom do

skóry!

Po chwili szalonej bieganiny na pokładzie dziobowym, przyniesiono pochodnie i zanurzone w

oliwie szmaty owinięto dookoła grotów strzał. Zaraz też deszcz płonących

pocisków, ciągnących

za sobą ogony czarnego dymu, spadł na burty i pusty pokład galery. Niebawem czerwone

plomienie wypełzły z tuzina punktów na całym statku.

–Ha! – zagrział Conan. – O to chodziło! Spójrz, Sigurdzie!

Na zielonej galerze, na jej rufowym pokładzie, pojawiła się wysoka, chuda postać.

Nie

wyglądała na zwykłego żeglarza. Miała na sobie płaszcz z wspaniałych zielonych piór,

narzucony na wąskie ramiona. Ponure rysy żółtawej twarzy były tak nieruchome, jakby odlano ją

ze spiżu. Kapłan, albo czarownik, stojąc bez ruchu, obserwował „Czerwonego Lwa” jadowitym

spojrzeniem mrocznych oczu.

Gdy Conan i jego ludzie przyglądali się nieznajomemu, ten wyciągnął kościste ramię w

niezwykłym geście i w tym momencie zgasł ogień na pokładzie. Wstęgi dymu przeredziły się i

znikły.

–Czary! – zahuczał Sigurd gniewnie, chwytając kurczowo ramię Conana.

–Yakov! – zawołał Conan. – Strzelaj w tego psa! Zanim jednak rozkaz został wykonany,

postać w płaszczu z piór wyszarpnęła spod szaty jakiś mały przedmiot i rzuciła go w rozkołysane

zielone fale pomiędzy statkami.

Morze poderwało się w górę w potężnej eksplozji oślepiających płomieni. Ściana szkarłatnego

ognia zapłonęła pomiędzy okrętami. Ludzie Conana podnieśli krzyk. Zabobonny strach pojawił

się na ich obliczach. Byli dość dzielni, by stanąć twarzą w twarz z ostrą stalą i świszczącymi

strzałami, lecz któż może pokonać magię?

–Czary! – powtórzył Sigurd. – Na serce Ahrimana i biodra Tammuz, widzisz to, Amra?

Ten skośnooki czarownik postawił mur ognia szybciej niż człowiek zdążyłby splunąć!

Spoglądając spod przymrużonych powiek, Conan zauważył, że nadnaturalne płomienie nie

rozszerzają się, lecz pozostają w jednym miejscu, tworząc kurtynę ognia prawie całkiem

zasłaniającą obcą galerę i wznoszącą się na wysokość masztów „Czerwonego Lwa”. Płomienie

wydawały się lizać żagle.

–Osiem rumbów na lewą burtę! – ryknął Conan. – Zobaczymy, czy zdołamy ominąć ten ogień – rzekł do Sigurda.

–Na brzuch Shaitana i brodę Ymira, on nas ściga! – zawołał Sigurd chwytając się kurczowo nadburcia, aż zbiegły mu knykcie.

I tak też było. Gdy „Czerwony Lew” skręcił przez lewą burtę, mur ognia powtórzył ten manewr. Conan przysłonił oczy i spojrzał w górę na żagle. Wyglądały, jakby jeszcze nie dotknęły ich ogień, nie były nawet ani trochę okopcone. Conan wybuchnął śmiechem.

–Hej, sterniku! – zawołał. – Rumpel na prawą burtę i nie zwracaj uwagi na ogień!

Żagle na pełny wiatr!

–Amra! – odezwał się Sigurd wytrzeszczając oczy. – Co się dzieje do wszystkich diabłów...

Conan uśmiechnął się szeroko.

–Patrz, stary morsie, i ucz się.

„Czerwony Lew” rozciął mur płomieni tak, jakby go w ogóle nie było. Załoga statku nie poczuła żaru ani gorąca. Gdy tylko znaleźli się po drugiej stronie, magiczna bariera zamigotała i znikła. Cała zgraja korsarzy przyglądała się temu z rozdziawionymi gębami.

–Niezwykły miraż, iluzja! – zawołał Conan. – Zebrać się i przygotować do abordażu, psy!

Zobaczmy, czy ten opierzony czarodziej lubi zimną stal!

Gdy „Czerwony Lew” podpływał bliżej galery, załoga karaki ujrziała srogie, podobne do maski oblicze maga, jego ogoloną czaszkę i pałające wściekłością oczy. Wtem czarownik podniósł obydwie ręce, a jego wspaniałe płaszczy rozpostarł się na wietrze, niczym skrzydła legendarnego feniksa.

–Hai, Xotli! Chahuatepak ya xingoth! – wykrzyknął.

Czerwone Cienie uderzyły. Przywarły do argosańskiego sternika i ten zniknął z przeraźliwym krzykiem. „Czerwony Lew” przechylił się na prawą burtę, schodząc z kursu. To już nie było złudzenie. Odziany w pióra czarownik roześmiał się szkaradnym, skrzypiącym głosem i podniósł ręce, by znów przywołać Strach.

Tym razem oczy maga zwróciły się na Conana. Ogniem otoczona i z diabelską załogą wprost z głębin piekielnych, przeklęta przybyła. Lew złamał jej czary i sięgnął po skarb

**z czerwonych otchłani wieziony.
„Podróże Amry”**

WIDMOWI WOJOWNICY

Stary Sigurd zobaczył to spojrzenie i zrozumiawszy jego sens ryknął do Yakova na przednim pokładzie:

–Przedziurawcie tego diabła w piórach!

Strzały pomknęły ze świstem. Mag przerwał w połowie czar przywołujący Strach i zaczął

wypowiadać z pośpiechem jakieś inne zaklęcie. Pierwszy pocisk skręcił nagle i nieszkodliwie

uderzył o pokład. Druga i trzecia strzała również chybiły, ale następne dosięgły czarownika. Było

ich zbyt wiele, by ten mógł odparować je wszystkie mocą swych zaklęć. Jeden z pocisków

przebił mu prawą rękę.

Ciemne oblicze czarownika zszarzało. Odruchowo przycisnął zranioną rękę do kościstej

piersi, po czym zniknął.

Sigurd chrząknął i otarł swój gruby nos.

–Cóż możemy zrobić przeciw tym przeklętym, piekielnym mocom, Amra?

Zawróćmy

raczej, zanim Cienie dopadną nas wszystkich.

Conan spojrział na niego przenikliwie.

–Czyżbyś stracił rozum? – warknął wściekle. – Ten piekielny okręt jest tym, czego szukamy! To tutaj powstają Czerwone Cienie!

–Ale stal nie obroni nas przed nimi...

–Sam widziałeś, jak chłopcy Yakova dostali tego diabła, czyż nie? – syknął Conan targając

Sigurda za ramię. – Nie przywoła swych diabłów tak okaleczoną ręką, nadszedł więc czas

ataku! – Uniósł głowę. – Sternicy, jeden rumb na lewą burtę! Przygotować haki abordażowe!

Ustawić się do ataku!

Dziób „Czerwonego Lwa” prześlizgnął się obok rufy galery i przesunął wzdłuż jej burty z

trzaskiem i gruchotem łamanych wioseł. Haki wbiły się w pomalowane na zielono drewno.

Dziesiątki rąk napięło liny i przyciągnęło do siebie obydwa statki.

–Abordażownicy, naprzód! – rozkazał Conan, zeskakując na pokład, by przyłączyć się do

piratów stłoczonych przy burcie. Stali z nożami w zębach oraz kordami, mieczami i toporami w

dłoniach. Wszyscy mieli na sobie najrozmaitsze pancerze, kolczugi i karaceny.

Hełmy o różnych

kształtach okrywały ich rozczochrane głowy.

Conan pierwszy skoczył na wrogi statek i wylądował pomiędzy nadburciem a pokładem, tam

gdzie powinni siedzieć wioślarze. Nie było tu jednak nikogo. Wiosła same z siebie miarowo

poruszały się w dulkach.

Włosy podniosły się na głowie zabobonnego barbarzyńcy. Conan wbiegł pośpiesznie na

główny pokład, niespokojnie rozglądając się za wrogiem. Nagle czarny olbrzym, Yasunga,

chwycił go za ramię i wskazał na tylny pokład galery. – Spójrz, Amra! Pierzasty diabeł! Chudy

czarodziej powrócił, lecz zamiast wspaniałego płaszcza z piór przywdział teraz długą kolczugę z

kółeczek, wykonanych z jakiegoś dziwnego, różowo świecącego w słońcu metalu. Fantastyczny

hełm, o kształcie głowy ptaka, chronił nagą czaszkę maga. W lewej ręce trzymał on długi i prosty

spiżowy miecz z zębami jak u piły, a w prawej miał tarczę z zielono emaliowanego metalu,

ozdobioną wizerunkiem krakena.

Conan ruszył, by stawić czoło czarownikowi, gdy ten wypowiedział zaklęcie w tym samym

języku, w którym wcześniej wzywał Czerwone Cienie. Jęk grozy wyrwał się z piersi piratów.

Tam, gdzie stał jeden uzbrojony człowiek, teraz stało ich tuzin, a wszyscy wyglądali tak samo.

–Do ataku! – ryknął Conan, skacząc na schodki wiodące na tylny pokład. Ostrze Cymmerianina ze szczękiem zderzyło się z mieczem magicznego wojownika.

Conan uspokoił się

całkowicie, znajdując w swych wrogach ciało i krew zwykłych ludzi. Jego przeciwnicy byli

wysocy, chudzi i niezbyt silni, ale walczyli dobrze. Z furią rozjuszonego wilka Cymmerianin

wpadł pomiędzy nich, roztrącając ich szyk. Rycząca horda piratów runęła za nim siekąc i kłując.

Jazgot dźwięczącej stali buchnął niczym z piekielnej kuźni. Wykrzykując cymmeriańskie

przekleństwa, Conan rąbał z furią orłonosych mężczyzn, którzy znaleźli się na jego drodze. Jeden

cięty na odlew, runął na plecy z rozchlastaną do połowy twarzą. Inny padł na kolana,

przytrzymując kurczowo wypływające jelita. Trzeci cofnął się poruszając
niemrawo kikutem
ramienia. Czwarty zwał się z czaszką rozłupaną aż do szczęki. Wciąż jednak
nadchodzili
następni. Conan zabił już dziewięciu wrogów, ale pozostali otoczyli go zwartym
kręgiem. Miecz
Cymmerianina ubroczył się we krwi aż po rękajeść. Kolczuga zwiślała porwana w
tuzinie miejsc,
w których dosięgły jej zębate ostrza. Potężne ramiona krwawiły z kilkunastu
powierzchnowych
zranień. Dzierżąc miecz w obydwu dłoniach, Conan uderzył w otaczający go
pierścień wrogów,
warcząc jak schwyty w pułapkę wilk. Dziesiąty wojownik runął przebity na
wylot.
Cymmerianin odbił kilka zagrażających mu ostrzy lekkim ruchem nadgarstka.
Serce waliło mu
jak wojenny bęben Piktów. Krew huczała mu w uszach, a jego zabójcza stal
migotała jak
wściekła błyskawica. W końcu jednak Conan zaczął odczuwać ciężar swych
sześćdziesięciu z
górami lat. Oddech palił mu płuca, oczy zaś zasnuła szkarłatna mgła. Jedną połową
duszy
Cymmerianin przeklinał brak swej żelaznej wytrzymałości z dawnych lat, ale drugą
dziękował
bogom za to, iż będzie mógł zginąć, tak jak tego pragnął, stając twarzą w twarz z
wrogiem i
mieczem w dłoni. Przebiwszy się wreszcie przez pierścień wrogów, Cymmerianin
natknął się na
pojedynczego wojownika, stojącego na końcu pokładu, na tle nieba. Conan
natychmiast wzniósł
miecz. Długie ostrze zachręściło na ogniach kolczugi z różowego metalu, a
rozerwawszy ją,
dotarło do serca wroga. I to był koniec...
Sapiąc i stojąc na niepewnych nogach, Cymmerianin odwrócił się do reszty
przeciwników. Za
nim był jednak pusty pokład, na którym pozostali jedynie jego własni ludzie.
Widmowa armia
zniknęła. Zniknęły nawet ciała zabitych. Conan podszedł do nadburcia, gdzie leżał
tylko jeden
martwy mężczyzna, ten, który zginął ostatni. Cymmerianin tknięty nagłą myślą
zerwał z zabitego
tarczę. Prawa ręka trupa była owinięta bandażem.
Conan wziął głęboki oddech i jego grzmiący śmiech uspokoił wystraszonych

piratów.

–To były odbicia tego psa – odezwał się trącając zwłoki czubkiem miecza. – Tylko on był prawdziwy, a tamci istnieli tylko dopóty, dopóki on żył. Kiedy zginął, zmienili się w mgłę!

Zabierzcie naszych rannych na „Czerwonego Lwa”. Goram Singh, weź ludzi i przeszukajcie ten statek. Pośpieszcie się! Jeśli jest tu jakiś skarb, lepiej zatroszczyć się o niego szybko. Sigurd,

Yasunga, za mną! Conan zszedł na główny pokład i pchnął drzwi do jednej z rufowych kabin. Po bitewnej furii czuł w kościach ogromne zmęczenie. Wolał, aby jego ludzie tego nie zauważyli.

Sześćdziesiąt kilka lat ciążyło mu niczym ołów i tylko orzeźwiający łyk mocnego wina mógł

włać weń nowe siły. Wewnątrz mrocznej kabiny czuło się jakąś mistyczną posępność. Ściany

obwieszane były sinymi gobelinami, na których krzywiły się straszne twarze demonów. Na

niskim taborecie o kształcie ośmiornicy stała kryształowa karafka wypełniona ciemnym płynem.

Conan podszedł i jednym haustem wypił jej zawartość.

Płyn smakował jak wino, ale był mocniejszy niż wszystkie trunki, jakich dotąd próbował.

Cymmerianin poczuł miłe gorąco rozplywające się po całym ciele. Nowe siły zaczęły wypełniać

obolałe mięśnie. I wtedy Conan zobaczył coś, co sprawiło, że krew zamarła mu w żyłach. Trzy

kroki dalej, blisko jedwabnej kotary stał człowiek, którego niedawno zabił! Zbroja z różowego

metalalu była rozerwana na sercu, tam gdzie trafił rozstrzygający cios, a z rany wciąż wypływała

krew. Nie zważając na zamarłego ze zdumienia Cymmerianina, widmowa postać odsunęła na

bok tkaninę, odsłaniając niszę, w której stała srebrna kasetka. Zjawa wzięła ową szkatułkę, po

czym ruszyła do okna umieszczonego po drugiej stronie kabiny. Okno otworzyło się ukazując

błękitne morze i część kadłuba „Czerwonego Lwa”. Fantom był już o krok od skoku w

rozkołysane fale, gdy Conan runął przez kabinę, chwytając mglistą postać. – Co robisz, Amra?!

–zawołał Sigurd. On i Kuszyta stali ciągle u wejścia do kabiny.

Skrwawione ramiona Conana otoczyły talię czarownika, ale przeszły przez chude ciało, jak przez mgłę. Jedna dłoń Cymmerianina zacisnęła się na szkatułce. Ta była czymś trwałym i Conan bez trudu wyciągnął ją ze słabego uchwytu widma. Posłał przeciwnikowi straszne spojrzenie, pełne obłądnej nienawiści. Zaraz potem zniknął wśród fal. Conan odwrócił się trzymając puzderko. Sigurd i Yasunga zasypali go pytaniami. Dla nich widmo czarownika nie było widzialne. Zobaczyli szkatułkę ulatującą z niszy i pędzącą do okna, najwyraźniej bez żadnej pomocy. Widzieli też skok Cymmerianina i pochwylenie jej. Zanim mógł zaspokoić ich ciekawość, na zewnątrz kabiny rozległy się kroki i głos Gorama Singha: –Kapitanie! Przedni pokład i ładownie są puste. Ani śladu skarbów. Galera tonie. W kadłubie jest mnóstwo szczelin. Musimy zaraz wracać na „Czerwonego Lwa”. Conan spojrzał na srebrną kasetkę. Był to ich jedyny łup. Właśnie tę rzecz wiozł magiczny statek, a tajemniczy czarownik walczył i zginął usiłując ustrzec ją przed piratami... Gdzie słońca tonąc umierają w krwawej posoce posępnego niebu, z sag pradawnych wracają wyspy zaginione, a zimne morza chłoszczą ciemne brzegi. „Proroctwo Epemitreusa”

SZKATUŁKA Z ATLANTYDY

Ze szkatułką pod pachą Conan przeskoczył na „Czerwonego Lwa”. Za Cymmerianinem podążyli Sigurd, Yasunga i muskularny Venedhianin, Goram Singh. Za moment wyciągnięto haki, zwinięto liny i oba statki rozłączyły się. Wkrótce rozdzielił je pas wody szeroki na rzut oszczepem. Galera zanurzała się spokojnie, aż do chwili, w której spienione fale zaczęły bez przeszkód przepływać nad jej pokładem. Tylko maszty oraz przedni i tylny pokład pozostały ponad powierzchnią morza. Nie mając ciężkiego ładunku, który mógłby ją pociągnąć w dół, wpółzatopiona galera mogła pływać w ten sposób całymi miesiącami.

–Naprzód, na ocean! – zawołał Conan. – Żagle na pełny wiatr! Dwa rumby na lewą burzę!

Chwyciwszy wiatr karaka ruszyła, jak pełen temperamentu rumak. Wrak galery pozostał daleko za nimi.

Stojący u boku Conana Sigurd ponuro spoglądał na znikające za horyzontem maszty galery.

Krzepki Vanir był blady i przygaszony. Tak samo czuli się wszyscy piraci. W powietrzu wisiał jakiś chłód, podobny do lodowatego powiewu nadpływającego z otwartego grobu.

Yasunga mrucał modlitwy w swym ojczystym języku. Sigurd ukradkiem nakreślił na sercu znak młota Thora.

Wreszcie maszty galery zniknęły im z oczu. Nad ich głowami niebo było wciąż błękitne i czyste, ale na zachodzie zapalały się pierwsze czerwone błyski gasnącego słońca.

Na wschodzie pojawiła się cienka smuga atramentowoczarnej mgły. Conan drgnął i poklepał Sigurda po ramieniu, wyrywając go z zadumy.

–Chodźmy do kabiny, Czerwonobrody – powiedział Cymmerianin. – Musimy wypić za zwycięstwo. I mamy przecież łup do obejrzenia. Yasunga, przejmij dowodzenie! W kabinie płonął ogień w żelaznym piecyku i parowała gorąca woda. Conan zmył z siebie zaschlą krew i bitewny pot, nie zważając na piekący ból drobnych ran. Wytarł się gorącym

ręcznikiem, wdział

welnianą tunikę, z wielką ulgą zzuł buty i usiadł przy stole naprzeciw Sigurda.

Vanir pchnął ku

niemu dzban wina. Wypili z ochotą i niebawem poczuli, jak wraca im dobry humor.

–Nalej następny kubek – Conan zwrócił się do Sigurda. – Ten napad rozgrzał krew

w

ludziach, ale szkoda, że nie wzięliśmy większego łupu, oprócz tej przeklętej

skrzynki!

Położył pudełko na stole i w zamyśleniu przesuwiał palcem po jego powierzchni.

Szkatułka

była podobna do cegły. Wykuta w srebrze... ale czy to rzeczywiście było srebro?

W blasku

oliwnych lamp metal połyskiwał różowym odcieniem, a w dotyku nie czuło się

delikatnej

gładkości srebra.

Sigurd, również zaintrygowany, przebiegł owłosionymi palcami po wypukłych

liniach

tajemniczych piktogramów wyrytych na szkatułce. Wreszcie otworzył usta, by coś

powiedzieć,

gdy Conan odezwał się pierwszy:

–Orichalk!

Legendarny, magiczny metal z zaginionej Atlantydy był, jak mówiono, podobny do

srebra ze

względu na trwałość i wagę, ale miał barwę miedzi. Było więc pewne, że szkatułka

pochodzi z

zatopionego kontynentu. Conan zawsze chętnie słuchał opowieści o dawnych

królach Atlantydy,

potężnym Kullu z Valusji, władcy Topazowego Tronu, o strasznym Kaa-Yazoth i

jego żelaznych

legionach oraz o Białym Imperatorze, przepędzonym z Miasta o Złoty Bramach

przez

Czarnych Magów, którzy umieścili na jego tronie czarodzieja, Thevatatha. Te i

podobne sagi

śpiewano przy ogniskach w jego rodzinnych stronach, skracając długie noce

cymmeryjskich zim.

Opowieści owe posiały w duszy Conana ziarna tęsknoty za podróżami i

przygodami i popchnęły

go na drogę wiodącą przez pół świata. Cymmerianin uśmiechnął się lekko,

wspominając minione

dni. Sigurd podniósł szkatułkę i potrząsnął nią niecierpliwie.

–Jak myślisz, co w niej jest?

–Coś cennego, na Croma! – zaśmiał się Conan. – Trzeba to otworzyć!

W skrzynce była dziurka na klucz, ale ten bez wątpienia leżał gdzieś na dnie

morza. Pokrywka

miała solidnie wyglądające zawiasy. Conan poszperał chwilę po kajucie, po czym postawił

szkatułkę na sztorc i do zatyczki zawiasów przyłożył koniec wielkiej, brązowej igły. Uderzył w

nią lekko ręką swego sztyletu i uśmiechnął się do Sigurda. – Nauczyłem się tej sztuki,

kiedy byłem złodziejem w Zamorze... Na Croma! Już ponad czterdzieści lat minęło od czasu,

gdy ostatni raz robiłem coś podobnego.

Wkrótce obydwie zatyczki zawiasów zostały wybite i pudełko otwarto. We wnętrzu leżał

mały zwój pergaminu, przewiązany szkarłatną wstążką.

–Skarb?! – jęknął Sigurd. – Na rogi Shaitana i brzuch Molocha! Czy kiedykolwiek aż tak

bardzo nabrano dwóch takich porządnych łotrów, jak my? Pokład nędznej galery zalany krwią w

walce z hordą demonów o co? O przeklęty kawałek pergaminu!

Splunął gwałtownie, ale Conan badając rulonik mruknął:

–Nie warto narzekać, Czerwonobrody, gdy jest już za późno. To coś więcej niż tylko

skrawek papieru. Niech mnie Crom przeklnie, jeśli się mylę. Spójrz tutaj!

Sigurd pochylił się przyglądając zwojowi, który Conan rozłożył na stole. Był to sztywny,

trzeszczący pergamin, być może zrobiony z błony ze skrzydeł latających smoków, które, jak

mówiły legendy, hodowano na Atlantydzie. Już na pierwszy rzut oka można było się

zorientować, że jest to dokładna mapa Oceanu Zachodniego.

–Ta linia na wschodzie to zarys wybrzeża naszego kontynentu – powiedział Conan. –

Widzisz? Tutaj powinna być Messancja, a to jest wybrzuszenie, które zakrzywia się wzdłuż

wybrzeży Zingary na wschód, do Shem.

–Tak, a te nieregularne punkty to wyspy Baracha, Lira i Mannana – mruknął Sigurd

marszcząc brwi. – Ale na bogów, spójrz, co jest na zachodzie!

Wskazującym palcem przesunął przez mapę, pokazując linię wybrzeży przeciwległą do tej,

którą znali.

–Ciekawe... – zgodził się Conan przyglądając się wybrzeżom nieznanego kontynentu,

ciągnącym się wzdłuż zachodniego krańca mapy oraz łańcuchowi siedmiu dużych

wysp leżących

na południowy wschód od tego lądu.

Mapę narysowano z drobiazgową dokładnością. Ukazywała ona wybrzeża, porty, rafy,

mielizny, a także kierunki wiatru i prądy, dowodząc, że kartograf był dobrze obeznany z

ziemiami i morzami tego regionu. Conan uderzył pięścią w stół.

–Na Croma! – wybuchnął. – Pojąłeś w czym sekret, Czerwonobrody?

Sigurd wzruszył ramionami, a Conan postukując sękatym palcem w pergamin rzekł:

–Zielony statek przyplłynął z wysp, o tych tutaj! Był w drodze do naszych wybrzeży. Crom

tylko wie dlaczego, chyba że po to, by wypuścić Czerwone Cienie na nasze miasta. A co na tym

statku było tak cenne, że uciekał przed nami jak przez zarazę? Mapa wskazująca drogę do domu!

Sigurd zamrugał oczami zaskoczony.

–Myślę, iż trafiłeś w sedno, Amra. Cóż to zatem za przekłete wyspy?

–Antillie!

Sigurd mruknął coś, potarł włochatą łapą podbródek i powiedział:

–Tak, możesz usmażyć moje brzuszysko, ale słyszałem już opowieści o nich, lecz nigdy w

nie nie wierzyłem. Czy masz na myśli historyjki mówiące, że kiedy Atlantyda zatonała, zgraja

kapłanów uciekła na nieznaną część lądu na zachodzie i zbudowała tam kolejne Złote Imperium!?

Słyszałem bajdy o murach siedmiu miast Antillów zbudowanych ze złotych cegieł i o ulicach

wybrukowanych srebrem. Słyszałem o świątyniach i piramidach z chryzoprazu i o klejnotach

dość wielkich, by zadławił się nimi wieloryb, a leżących na plaży tak, iż wystarczy je tylko

podnieść... Bogowie i demony, przypuszczasz, że jest w tym jakaś prawda?

Conan wzruszył ramionami.

–Crom wie! Słyszałem podobne opowieści o Venedhii i Khitaju, ale kiedy dotarłem do tych

miejszc, stwierdziłem, że opisy były mocno przesadzone. Jedynym sposobem sprawdzenia tego

jest pożeglować tam. Ta mapa wskaże nam drogę!

Pod pełnymi żaglami, mocno wydętymi,

dziób statku się wznosi wysoko.

Przez morze tej nocy płyniemy po złoto

i świecą nam gwiazdy na niebie.

„Szanta z Wysp Baracha”

PODRÓŻ NA MORZE NIEZNANE

I stało się, że „Czerwony Lew” wyruszył na rozkołysane sztormami i nawiedzane potworami

pustkowiec Oceanu Zachodniego, na najdziwniejsze z poszukiwań. Jedynym drogowskazem było

w dzień słońce, nocą zaś gwiazdy, gdyż kompas nie był znany żeglarzom wieku hyboreańskiego.

Mapa wydobyta ze szkatułki z orichalku prowadziła ich coraz głębiej i głębiej w nieznane.

Kilku piratów sprzeciwiło się tak fantastycznemu przedsięwzięciu. Tym jednak Conan

wskazał dwa ważne powody, dla których powinni zmienić zdanie. Pierwszy z nich był taki, że

wyruszyli na tę wyprawę dla przygody, chwały i łupu, a bez wątpienia znajdą to wszystko w

mnożości na Antilliach. Po drugie, zapowiedział, że osobiście wyrzuci każdego malkontenta za

burtę, na pożarcie krakenom. Te powody okazały się wystarczające.

Ciągle więc oddalali się od wybrzeży, które znali i coraz bardziej wzrastał w piratach lęk i

obawy. Wspominali stare opowieści, mówiące że daleko na Zachodzie świat kończy się

potężnym urwiskiem, w które oceany wlewają się gigantycznym wodospadem i z grzmiotem

spadają na fundamenty Wieczności. Według tych legend każdy statek, który popłynie za

widzialne krańce horyzontu, zostaje pochwycony przez potężny prąd, który poniesie go wraz z

bezzadną i zrozpaczoną załogą prosto za krawędź świata.

Conan uciszył te pogłoski, rozbijając kilka głów i pokazując pozostałym, że z każdą milą

żeglugi na zachód horyzont ciągle odsuwa się na poprzedni dystans.

Płynęli pod żaglami wyдутymi stałym powiewem północno-wschodnich pasatów. Przed nimi

leżał nieznany świat. Wszystko dookoła było zaś ponurym pustkowiem poszarpanych wiatrem

fal, pod którymi mógł czaić się straszny mieszkaniec głębin. Conan nie obawiał się morskich

potworów. Stawał już twarzą w twarz z wojownikami, czarodziejami, potworami, demonami, a

nawet bogami. Wszyscy oni, jak się ostatecznie okazało, mogli skonać od ciosu ostrej stali.

Jednak na wszelki wypadek polecił cieśli okrętowemu zbudować katapultę i zrobić ze smoły wydrążone kule, które wypełniono oliwą i zatkało knotami ze starych szmat. Dzień następował po dniu. Podróż przez nie kończące się wodne pustkowie tak znudziła Conana, że zaczął tęsknić za walką, która przerwałaby ową nieznośną monotonię. Niestety, jeśli nawet w okolicy były jakieś morskie potwory, to omijały „Czerwonego Lwa” z daleka. Aby utrzymać porządek na statku pełnym krwiożerczych piratów, równie jak ich dowódca znudzonych beczynnością, Cymmerianin zajmował ich szorowaniem pokładu i wyrabianiem strzał do łuków, w celu uzupełnienia zużytych w walce z zieloną galerą. Od czasu do czasu starego Cymmerianina nachodziło pragnienie, aby dowiedzieć się, co dzieje się w odległej Aquilonii. Myślał o swym synu, zastanawiając się czy ten młody kozioł polubił ciężar korony na łbie. Myślał też o pałacu, gdzie spędził tak wiele szczęśliwych lat ze swą żoną Zenobią. Ona była kiedyś niewolnicą w Nemedii, ale on uczynił ją jedyną królową Aquilonii. Kiedy żyła, był – pomijając kilka potknięć w czasie dalekich podróży – jej wiernym, a niemały to wyczyn dla gorączkowanego wojownika z Cymmerii. Gdy umarła przy porodzie, powrócił do poprzedniego zwyczaju i założył harem pełen zgrabnych konkubin, których zdobywanie nie nastęrczało żadnych trudności. Zawsze było dość dużo chętnych i powolnych dziewcząt. Nie poślubił jednak żadnej z nich. Żadna kobieta nie zajęła miejsca Zenobii. Teraz kiedy jej już nie było, stwierdzał, że często myśli o niej w nastroju ponurego przygnębienia, które bardzo go odmieniało. W czasie gdy żyła, przyjmował jej oddanie jako coś zwykłego i mało o tym myślał. Był szorstkim barbarzyńcą. Dziś ubolewał nad słowami, których jej nie powiedział, i względami, jakich nie okazał. Myślał o dawnych czasach i starych przyjaciółach. Twarze z przeszłości tłoczyły się w jego pamięci: Belit-Tygryśca, rozmarzona królowa piratów z Czarnego Wybrzeża, jego pierwsza

wielka miłość... Taurus z Nemedii – gruby, stary złodziej, z którym splądrował tajemniczą

Wieżę Słonia. Zagadkowy Toth-Amon, czarownik stygijski, którego szlaki tak często

krzyżowały się z jego, aż do ostatniego, decydującego starcia. Wspominał też lojalnego, zawsze

uśmiechniętego Jubę, czarnego olbrzyma z Kush, z którym pokonał na Dalekim Wschodzie ludzi

z zaginionej doliny Meru, a także hrabiego Trocero z Poitain, przebiegłego kanclerza Publiusza,

dzielnych żołnierzy Prospera i Pallantidesa – przyjaciół, którzy przyszli mu z pomocą, kiedy

zazdrosny król Numedides skazał go na wygnanie, a którzy zebrali się przy nim, kiedy rozpoczął

rewoltę przeciw zdeprawowanemu monarsze...

Wizerunki przyjaciół, kochanek, kompanów i wrogów, których w tym życiu już nigdy miał

nie zobaczyć, przesuwają się w umyśle Conana. Pamięć powracała niosąc gorycz straty. Teraz

śmiałe i krwawe wydarzenia zuchwałej młodości były już poza nim. Długa noc zbliżała się

szybko. Jednak ostatni zachód słońca Conan chciał ujrzeć na polu pełnym zakrwawionych

trupów. Tak powinna wyglądać ostatnia godzina jego życia.

–Ahoj, ziemia!

Zatopiony w głębokiej melancholii Conan ocknął się. Krzyk z okna przywołał go do rzeczywistości, budząc krew w żyłach.

–Gdzie?! – zawołał.

–Trzy rumby od dziobu po prawej burcie, kapitanie! – odpowiedział obserwator ze szczytu

przedniego masztu.

Conan wspiął się na wanty i spojrzał na horyzont przed „Czerwonym Lwem”. Na zachodzie

wciąż było ciemno, ale we wskazanym miejscu znajdował się pasek znacznie głębszej czerni.

Ziemia. Piraci stłoczyli się na forkasztelu, dyskutując i pokazując sobie nawzajem odległy ląd.

Conan powrócił na tylny pokład, zastając tam Sigurda.

–Cóż to jest, przyjacielu? – spytał Vanir. – Czyżby w końcu Antillie? Na słoneczny dysk

Shamasa i srebrny sierp Demetri! Nareszcie będzie coś do roboty! Złoto dla wszystkich, a na

przyprawę gorącą krew!

Conan uśmiechnął się szeroko.

–Aye. Dwa miesiące na pokładzie okrętu, gdy dookoła tylko morze i niebo, to jakby dwa

wieki. Ale przeprawa już za nami!

Wtem nadleciał od obserwatora dziki okrzyk:

–Smok z lewej burty! Zbliża się do nas!

Smok! Conan uczył zimno przebiegające po plecach. Odwrócił głowę.

Potwór nadpływał z rozpostartymi skrzydłami, nad którymi wznosiła się hakowato wygięta

szyja. Potężna pierś rozcinała spokojne, oleiste fale. Oczy smoka płonęły białym ogniem, a

czarny dym buchał z jaskrawoczerwonych nozdrzy.

Zanurzone w czerwieni i w ponurej mgle,

kędy słońce zachodzi w przepychu purpury,

zapomniane Imperium wciąż jeszcze trwa,

niczym fantom minionych dni.

„Proroctwo Epemitreusa”

SMOCZY OGIENÍ

–Wszyscy z bronią na pokład! – ryknął Conan wyrywając załogę z odrętwienia. – Łucznicy na forkasztel! Yakov, daj znać, kiedy będzie w zasięgu! Singh do katapulty! Sternicy, dwa rumby na lewą burtę! Sigurd, dopilnuj żagli! Obtańczymy go dookoła, jak pijanego kothiańskiego chłopka! Marco, przynieś mój hełm i pancerz. Ludzie pognali, by wykonać rozkazy. Na dziobie krzepki bosman i jego oddział zakrzętnęli się wokół maszyny miotającej. Inni wynosili z ładowni pociski ze smoły. „Czerwony Lew” przechylił się skręcając na lewą burtę i ustawił się na wprost potwora. Oczy smoka, świecące jak meteory, zbliżały się coraz bardziej. Gdy tylko stwór znalazł się w odległości strzału z łuku, drużyna Yakova wysłała chmurę strzał. Sporo z nich trafiło wbijając się pomiędzy łuski, inne odbiły się i powpadały do wody. Potwór nie zareagował. Tylnie łapy sprawiały wrażenie nienaturalnie cienkich. Przednie trwały w bezruchu. Łabędzi kark kołysał się na boki. Paszcza potwora połyskiwała ostrymi zębami. Słońce, ukryte dotąd za chmurami, zabłysło nagle i rozświetliło wszystko pełnym blaskiem. Conan krzyknął: –Ludzie, to nie żaden potwór; to statek! Przygotować katapultę! To była prawda. Smok był ozdobą dzioba galery podobnej do tej, którą napotkali wcześniej. Skrzydła były w rzeczywistości trójkątnymi żaglami, wzmocnionymi bambusowymi listwami, tak jak czyniono to w Khitaju. Druga salwa strzał zagrzechotała o dziób statku-smoka. Conan zauważył, że „przednie nogi” były w istocie mechanicznymi szczypcami podtrzymywanymi przez system lin i bloczków. Teraz żelazne haki uniosły się w górę, by chwycić dziób „Czerwonego Lwa”. – Singh, strzelaj! – wrzasnął Conan. Z głuchym trzaskiem katapulta wyrzuciła pierwszą kulę. Ta przeleciała nad wodą, odrykoszetowała od karku potwora i wpadła do morza. Galera była już tylko o rzut włóczni. Pierś smoka otworzyła się, a z jej wnętrza wysunął się

pomost abordażowy. Natychmiast stłoczyła się na nim fantazyjnie ubrana i najeżona bronią grupa szturmowa.

Zapadka katapulty zagrzechotała, kiedy obsługa rozpaczliwie obracała kołowrót, naciągając ramię. Potem trzask! Druga kula ciągnąca za sobą warkocz dymu poleciała prosto w tłum wojowników.

Buchnął ogień i trupio blade światło rozjaśniło wnętrze galery. Na pomoście abordażowym powstała panika. Kilku ludzi wypadło lub zostało zepchniętych do morza, gdzie pod ciężarem zbroi szybko utonęli.

Dym wydostawał się z wnętrza smoczego statku z kilkunastu miejsc naraz. Ogień rozprzestrzeniał się nienaturalnie szybko. Conan usłyszał krzyki odciętych wojowników.

Wkrótce płomienie wysunęły się znad smoczey głowy, liznęły żagle i szybko pomknęły w górę...

–Amra! – ryknął Sigurd. – Następny statek od rufy!

Conan obrócił się z soczystym przekleństwem. Drugi smoczy okręt z rozwiniętymi żaglami zbliżał się od tyłu. Płynąc z wiatrem i na wiosłach, poruszał się dużo szybciej niż poprzedni.

–Singh! – krzyknął Conan. – Katapultę na rufę! Gdy obsada katapulty pchała maszynę po pokładzie, druga galera szybko zmniejszyła dystans. Conan klął w żywy kamień.

Razem z innymi zagapił się na płonący statek. Gdyby nie Sigurd, zostaliby zaskoczeni.

–Yakov! – zagrzmiał Cymmerianin. – Wstrzymaj się ze strzelaniem, zanim nie otworzą wrót!

Jednak tym razem wrogi statek nie otworzył tak wcześnie bramy dla grupy abordażowej.

Zamiast tego wydał z siebie syk, jakby z tysiąca gotujących się kotłów. Z paszczy smoka wystrzelił język płynnego ognia. Pomiedzy statkami zapłonął ognisty łuk i uderzył w kadłub „Czerwonego Lwa”. Bryzgi palnej cieczy rozprysły się po pokładzie, a piraci odskoczyli w panice od nadburcia. Wielu z nich poczęło gasić swoje ubrania. Ciecz paliła się wydzielając gęsty, czarny dym o zapachu oleju skalnego. Conan znał tę substancję. Wysączała się ona z ziemi

na pustyniach Iranistanu i na południu Turanu.

Nie było jednak czasu tłumaczyć tego piratom. Rozległ się drugi syk i następny jęzor płonącej

cieczy trafił w przedni żagiel, który natychmiast zapłonął jak pochodnia. Załoga katapulty i

łucznicy rozproszyli się z wrzaskiem, gdyż pożar wybuchł tuż nad ich głowami.

–Ostro na prawą burtę! – ryknął Conan. – Żagle na pełny wiatr od trawersu sterburty!

Trzecia ognista struga zniszczyła środkowy żagiel, czyniąc z „Czerwonego Lwa” bezwładny

wrak. Ocalał tylko jeden mały, trójkątny żagielek dziobowy. Piracki okręt zwolnił i zakołysał się

na martwej fali. Żelazne szpony galery opadły z trzaskiem, wbijając się w pokład karaki. Brama

abordażowa rozwarła się, pomost wysunął i gromada wojowników runęła na pokład

„Czerwonego Lwa”.

Ludzie ci mieli brunatną skórę, wąskie oczy, wystające kości policzkowe i orle nosy. Nosili

hełmy w kształcie ptasich głów, takie same jak czarownik z zielonej galery, i dziwaczne szkliste

pancerze. Ich bronią były miecze o zębatych ostrzach, włócznie i proce na szklane kule. Posiadali

też inną broń, której Conan w pierwszej chwili nie rozpoznał.

Łucznicy Yakova mieli zatrzymać grupę abordażową morderczym gradem strzał, ale ulegli

panice tak jak cała reszta załogi. Conan wrzeszczał i wygrażał im z tylnego pokładu, ale piraci

biegali bezmyślnie po śródkręciu. Kilka strzał, które wystrzelono w kierunku przeciwników,

połamało się lub odbiło od ich pancerzy. Tylko paru piratów przygotowało się do odparcia ataku.

Conan zbiegł z rufowego pokładu z wielkim mieczem w ręku i dołączył do obrońców. Teraz

spozstrzegł, że napastnicy mieli na sobie dziwaczny ekwipunek. Od ich hełmów odchodziły rury

biegnące do zbiornika na plecach. Musiał to być jakiś rodzaj aparatu do oddychania. Ale po co?

Odpowiedź przyszła natychmiast. Najbliźsi z atakujących zatrzymali się, zakręcili procami i

obrzucili piratów szklanymi kulami wielkości jabłek. Kule pękały z dźwięcznym trzaskiem,

rozpadając się na tysiące lśniących odłamków. Z każdej rozbitej kuli wydobywały

się obłoki

bladej mgły. Nadlatywało ich coraz więcej. Mimo wiatru opary wciąż gęstniały.

Conan zobaczył

swych ludzi krztuszących się i osuwających bez przytomności na pokład. Padali jeden na

drugiego. Tylko kilku zdołało utrzymać się na nogach. Pokład wyglądał jak pobojuwisko, z tą

różnicą, że powaleni ludzie najwyraźniej spali.

Oddział abordażowy ruszył przez pomost na „Czerwonego Lwa”. Conan wpadł między nich

ze wściekłym rykiem, a jego szeroki miecz zamigotał jak stalowe skrzydło wiatraka. Kryształowe

zbroje rozpryskiwały się od ciosów ciężkiego ostrza. Jękliwe krzyki bólu rozlegały się we

wnętrzach hełmów.

Conan przerąbał się przez pierwszy szereg atakujących, pozostawiając poza sobą trzech

poległych wrogów. Ale następni natychmiast zajęli ich miejsce, starając się go okrążyć. Conan

przebił się przez ich szyk i dotarł do nadburcia, gdzie mając osłonięte plecy zyskał chwilę

wytchnienia.

Kilkanaście kroków dalej zobaczył Sigurda, walczącego z dwoma przeciwnikami. U stóp

starego pirata leżało już dwu innych. Zaraz potem, chociaż nie zadano mu ciosu, stary Vanir

wypuścił szablę z ręki i padł na pokład, tak jak reszta załogi.

Conan poczuł słodki zapach i świat zatańczył mu przed oczami. Atakujący uformowali wokół

niego półkole, otaczając go przy relingu. Przez trzy uderzenia serca Cymmerianin stał twarzą w

twarz z gromadą napastników. Za moment nad ich głowami przeleciało kilkanaście szklanych kul

i rozbiło się u stóp barbarzyńcy.

Conan nie czekał, aż opary go obezwładnią. Z chrapliwym rykiem rzucił się na wroga. Szeroki

miecz zamigotał nad głową. Trzask! Trzask! Dwaj przeciwnicy padli jak rażeni gromem. Conan

znów przebił się przez ich szyk i znalazł się na wolnej przestrzeni. Wiedział, że nie może sam

walczyć z całą zgrają. Mógłby zabić jeszcze kilku, ale wcześniej czy później zostałyby zarąbany.

Już odczuwał zmęczenie i ociężałość kończyn, oddech zaś miał przerywany. Dym

i zapach bladej

mgły zmuszały go do kaszlu. Cała załoga została unieszkodliwiona. Część zginęła od mieczy

wrogów, ale większość powaliły blade opary.

Inny człowiek straciłby głowę, nie wiedząc co dalej robić. Statek był stracony.

Pokład roił się

od napastników ze smoczego statku. Żagle i takielunek spłonęły. W tej chwili ogarnięta ogniem

reja runęła z hukiem na przedni pokład, wznecając snopy iskier. „Czerwony Lew” palił się w

kilku miejscach. Na pokład ciągle spadały kawałki płonących żagli i lin.

Conan rozumiał, że nie pomoże swym ludziom, jeśli pozwoli się zabić lub pojmać.

Barbarzyńska natura Cymmerianina popchnęła go do działania, zanim zdążył się nad nim

zastanowić. Wbiegł na tylny pokład. Z dwóch sterników na pokładzie rufówki jeden zniknął, a

drugi leżał martwy, podczas gdy nad jego ciałem stał Antillianin trzymając w dłoni zakrwawione,

zębate ostrze. Conan ruszył na niego i jednym pchnięciem przebił na wylot. Wróg upadł.

Conan puścił rękojeść miecza, zdjął swój rogaty hełm i rzucił go daleko w morze.

Pochylił się

i zerwał zabitemu ptasiogłowy hełm oraz przymocowany do niego aparat do oddychania. Nim

pozostali wrogowie dotarli na rufę, Conan umocował aparat na własnej głowie i ramionach.

Tamci ruszyli na niego z krzykiem wściekłości. W porę chwycił miecz, by stawić im czoło.

Odparował uderzenie włóczni o falistym ostrzu i potężnym cięciem strzaskał hełm oraz głowę

włócznika. Zanim ktokolwiek inny zdołał się zbliżyć do niego, Cymmerianin przechylił się przez

burtę i skoczył do wody. Pociągnięty w dół wagą kolczugi i miecza, zatonął jak kamień.

Poranne słońce stało wysoko na niebie. Chmury zniknęły. Antillianie zbierali ciała nieprzytomnych piratów i przenosili je do wnętrza smoczego statku. Inni gasili ogień,

przyduszając płomienie mokrymi szmatami lub zalewając je wiadrami morskiej wody.

Na koniec zwycięzcy wrócili na własny okręt. Pomost abordażowy cofnął się, a wrota na

piersiach smoka zamknęły. Galera odpłynęła nieco do tyłu i ustawiła się rufą do statku piratów.

Potem ze skrzypem lin postawiono żagle na wiatr i smoczy statek ruszył tam,
skąd przybył,
holując za sobą „Czerwonego Lwa”.
W macki i kły uzbrojone.
Na Lwa rzuciły się potwory...
„Podróże Amry”

GROZA MÓRZ

Conan uderzył o wodę z potężnym pluskiem, a zielone fale zamknęły się nad nim. Morze było zimne, lecz dotknięcie chłodnej, słonej wody nie było dla Conana przykre.

Skaleczenia zapiekły, ale zimny wstrząs orzeźwił go, odpędzając zmęczenie. Cymmerianin pogrążał się w świetle o barwie przejrzystego nefrytu. Kadłub „Czerwonego

Lwa” znalazł się nad nim i ujrzał skorupiaki obrastające kil.

W pierwszej chwili po uderzeniu o wodę Conan miał zamiar płynąć. Za moment jednak

uświadomił sobie, że aparat oddechowy w ptasim hełmie umożliwia przebywanie pod wodą.

Morskie dno było niezbyt głęboko i niebawem dotknął go stopami. Tu, w pobliżu wyspy

porośnięta wodorostami i ukwiałami równina podchodziła łagodnie pod górę. Cymmerianin mógł

więc bez trudu wydostać się na brzeg.

Oddychanie było w tych warunkach niełatwą sprawą. Dwie elastyczne rury przechodziły nad

ramionami od zbiornika wiszącego na plecach pomiędzy łopatkami. Jedna z nich wchodziła do

hełmu na wysokości nozdrzy, a druga na poziomie ust. Conan szybko zorientował się, że należy

chwycić ustami wylot niższej rury i przycisnąć nos do wylotu wyższej. Kiedy wydychał

powietrze ustami, kolumna lśniących bąbli z bulgotem wydostawała się z aparatu.

Ta niezwykła

metoda oddychania wymagała pewnej praktyki.

Dno pokrywał delikatny osad, który wzbijał się całymi kłębami po każdym kroku Conana.

Światła było wystarczająco dużo, by wyraźnie widzieć najbliższe otoczenie.

Piaszczyste pagórki

znajdujące się w większej odległości ginęły w głębokim szmaragdowym półmroku.

Cymmerianin ruszył w kierunku brzegu. Szedł wolno, kołysząc się z boku na bok, ponieważ

uzbrojenie i aparat oddechowy nieco mu zawadzały. Pomimo ciężaru kolczugi, miecza i butów

czuł się dziwnie lekko. Oddychanie wymagało wprawdzie sporego wysiłku, ale Conan nie zważał

na to.

Niezwykłe rośliny porastały bujnie dno morza. Barbarzyńca przepychał się przez falujące

kłębowiska ich długich liści, przypominających połyskujące, wielobarwne wstęgi.

Małe rybki o

jaskrawych kolorach miały się wokół niego, błyskając złotem, purpurą, szmaragdem i

szkarłatem. Kolonie różowych i białych koralu wznosiły się tu i ówdzie, przypominając

skamieniałe drzewa.

Po przejściu przez las wodorostów Conan znalazł się na kamienistym terenie.

Leżące tu głazy

przypominały ruiny miasta gigantów. Roje morskich stworzeń kryły się w skalnych szczelinach.

Wiele z nich podobnych było do pokrytych kolcami kwiatów czy gwiazd. Były takie, których

oczy tkwiły na szypułkach i inne wysuwające przed siebie jakieś niby gałązki o pierzastych

zakończeniach.

Barbarzyńca zaklął w duchu, gdy jeden taki dziwoląg oparzył go w palec niczym pokrzywa.

Po pewnym czasie Conan wydostał się na równą, skalną płytę i stanął na chwilę by odpocząć.

Słońce musiało być już wysoko, gdyż szmaragdowa głębia morza nabrała przezroczystości

likieru miętowego. Cymmerianin znajdował się teraz na stoku góry tworzącej podstawę wyspy.

Niedaleko stąd w kamienistym zboczu rozwierały się ciemne usta podwodnej jaskini.

Przyjrząwszy się pieczarze, Conan przezornie zdecydował, iż ominie ją z daleka. Jego

doświadczenie z jaskiniami na pustkowiach dowodziło, że często były one zamieszkane przez

istoty groźne dla ludzi. Był też pewien, że nieszkodliwe małe rybki nie są jedynymi mieszkańcami okolic tej wyspy. Mijając pieczarę, spostrzegł ruch w jej ciemnym wnętrzu. Za

moment zabłysła tam jasna plama wielkości talerza, a potem, tuż obok, następna. Coś popęzło w

stronę Cymmerianina po morskim dnie. Wyglądało jak gruba lina, albo raczej wąż pokryty

gładką czarną skórą. Było giętkie, żywe i zwężało się ku końcowi.

Gdy macka zbliżyła się, Conan zobaczył, że od spodu ma ona dwa rzędy ssawek.

Na cieńszym

końcu były one wielkości monety, w grubszej części zaś osiągały rozmiar końskiej podkowy.

Czubek podniósł się i dotknął buta Conana, tak jakby dziwaczny stwór chciał

**sprawdzić, czy to
jest jadalne. – Crom! – westchnął Conan rozpoznając w potworze krakena.
Cymmerianin
rzucił się do tyłu wyciągając miecz z pochwy.
Na powierzchni ziemi taki odskok przeniósłby go kilka stóp od miejsca, w którym
stał, ale na
dnie morza rzecz miała się inaczej. Conan stwierdził, że unosi się w górę i obraca
na wznak.
Woda przedostała się pod szklany hełm i zaczęła zalewać oczy, dopóki machając
wolną ręką nie
wyrównał postawy.
Macka cofnęła się, a potem jak atakujący wąż poderwała się gwałtownie i owinęła
dookoła
uda Cymmerianina.
Conan uderzył mieczem, ale opór wody pochłonął większą część siły ciosu.
Ostrze lekko
nacięło gumowatą mackę i odbiło się.
Uchwyt na nodze stał się miażdżący. Conan uświadomił sobie gigantyczną siłę
tych zwojów.
Wiedział, że jeśli nie złamie uchwytu morskiego potwora, macka wciągnie go do
jaskini. Tam
czekał na niego ostry, papugowaty dziób i szorstki jak pilnik język.
Olbrzymi kraken nie był jeszcze całkiem obudzony. Bawił się leniwie ze swą
ofiara,
zaciekawiony, ale zapewne nie głodny. Conan zobaczył inną mackę podnoszącą
się w zasięgu
jego wzroku, a za nią następną.
Barbarzyńca uniósł klingę i dźgnął w odnóże potwora, tuż za splotem, który
ściskał jego udo.
Czubek miecza zatonął powoli w macce i wyszedł z drugiej strony. Conan
dziękował wszystkim
bogom, że był uzbrojony w prosty, ostro zakończony miecz, a nie w zakrzywiony,
pozbawiony
szpica bułat czy kord. W takim przypadku historia życia Conana z Cymmerii
skończyłaby się
właśnie tu i teraz.
Rozleniwiony kraken nie poczuł bólu. Conan ciął powoli mackę, poruszając
ostrzem w górę i
w dół. Nagle trafił na nerw i kończyzna potwora szarpnęła się do tyłu, pozbawiając
Cymmerianina
równowagi. Za moment Conan był wolny.
Gdy znów stanął na piaszczystym dnie, druga macka ruszyła w jego kierunku,
dotykkiem**

badając dno. Kiedy znalazła się obok Conana, ten przyszpilił ją mieczem do dna oceanu.

Konwulsyjny skurcz kończyny spowodował, że klinga rozerwała ciało i wydostała się z rany.

Wijąca się macka popęzła ku jaskini, niczym zraniony wąż.

Woda wokół Conana zadrżała, gdy tytaniczna ośmiornica, rozdrażniona bólem ran,

przecisnęła swe cielsko przez gardziel pieczary. Conan zagapił się na budzące grozę rozmiary potwora.

Był on wielki jak dom. Macki były tak długie jak cały „Czerwony Lew”, a u podstawy miały

grubość pnia stuletniego drzewa. Potężne odnóża przytrzymując się głazów ciągnęły za sobą

resztę potwora. Pysk z dziobem znajdował się gdzieś pod kłębowskiem ramion.

Za mackami sunęła głowa z dwoma oczami wielkości talerzy. Oczy te posiadały szparkowatą

źrenicę, podobną do kociej, ale położoną horyzontalnie, a nie pionowo. Tuż za głową wlokło się

rozdęte, workowate cielsko, przypominające rozmiarami jedną z kolosalnych kadzi na wino w

piwnicach króla Argos. Fale zmiennych barw przebiegały jedna za drugą po cętkowanym

tułowiu. Białe, różowe, brązowe, kasztanowe i czarne.

Conan stał bez ruchu. Nie ważył się uciekać w dół po kamienistej pochyłości, którą miał za

sobą. Potwór na pewno poruszał się w wodzie znacznie pewniej i szybciej niż on i dogoniłby go

bez trudu. Cymmerianin uznał, że jeśli będzie stać spokojnie, to stworzenie nie powinien go zauważyć.

Wszystkie morskie istoty z natury najlepiej widziały ruch i jaskrawe kolory. Stojący na tle

ciemnych skał Conan był dla krakena niewidoczny. Problem polegał na tym, że ośmiornica

sunęła prosto na barbarzyńcę. Prędzej czy później któreś z odnóży musiało go w końcu namacać.

Wybierając najprostszą drogę ucieczki, Cymmerianin podskoczył w górę tak, by znaleźć się

nad ośmiornicą. Miał nadzieję przelecieć nad nią i opaść na zbocze za jaskinią.

Zapomniał jednak o tym, że skacząc w górę stał się dla krakena czarnym punktem poruszającym się na jasnym tle pofalowanej, srebrzystej powierzchni wody. Gdy tylko Conan

znalazł się nad bestią, dwa ramiona poderwały się w górę i zamknęły go w

miażdżącym uścisku.

Jedna macka objęła Cymmerianina w pasie, a druga schwyciła lewą nogę.

Potężne szarpnięcie

ściągnęło go w dół, prosto w rozwierający się dziób...

Conan przebił jedną z trzymających go macek, ale potwór tym razem nie zareagował.

Ośmiornica mogła pozwolić sobie na to, by stracić w walce większość swoich macek, które

potem i tak by jej odrosły. Za moment rozwierający się dziób musnął but Conana.

I wtedy na potwora runął jakiś czarny cień. Jedna z macek przytrzymujących Cymmerianina

zmiotczała nagle i odpadła. Błysnęły dwa rzędy trójkątnych zębów. W środku drugiej macki

zabrakło nagle odcinka długości trzech piędzi. Pozostała jej część odwinęła się i opadła na dno

oceanu, trzepocząc się jak przepołowiony robak.

Napastnikiem był ogromny, czarny rekin, długi na ponad trzydzieści stóp. Po pierwszym ataku

drapieżca zawrócił gwałtownym ruchem. Przez chwilę wisiał nieruchomo w zielonej wodzie, po

czym znów uderzył. Jego pozbawione wyrazu żółte oczy spoglądały tym razem na Conana.

Cymmerianina chwyciła jeszcze jedna macka owijając się pod prawym kolanem. Nagła

konieczność przydała ramionom starego barbarzyńcy nadzwyczajnej mocy.

Płynnym ruchem

Conan ciął mackę na odlew i stał się wolny.

Za moment Conan odbił się obunóż od głowy krakena i wyleciał w górę usiłując uniknąć

pędzącego jak meteor rekina. Trzymany w ręku miecz posłużył jako ster. Dzięki temu

Cymmerianinowi udało się w ostatniej chwili usunąć z drogi atakującego rekina.

Zębata paszcza zatrzasnęła się tuż obok. Przed oczami Conana mignęły ostre, chropowate

łuski i jaśniejszy pas ciała na brzuchu rekina. Potężne zaburzenia wody wokół płynącej ryby

zakręciły barbarzyńcą jak źdźbłem słomy.

Rekin zawrócił i znów zaatakował. Conan wiedział, że tym razem nie zdoła uskoczyć. Wtem,

gdy morski rozbójnik był już o długość włóczni, pomiędzy nim a Conanem śmignęły trzy czarne

macki i zacisnęły się na cielsku potwornej ryby. Rekin wygiął się i kłapnął wściekle paszczą.

Następna macka została przegryziona na pół, jednak pozostałe zaplotły się wokół drapieżcy

niczym żywa sieć.

Conan schował miecz, by mieć wolne ręce do pływania, i zerkając za siebie odpłynął

pośpiesznie z miejsca starcia, z trudem przewyciężając ciężar kolczugi.

Głowonóg zaplótł na

rekinie nawet swe okaleczone ramiona, zasłaniając mu oczy i zatykając skrzela.

Oślepiiony i

unieruchomiony drapieżnik nie zdołał już dosięgnąć zębami swego przeciwnika.

Tymczasem ośmiornica za pomocą ssawek dwóch zdrowych ramion przyczepiła się do skał i

nie dała się porwać walczącej o życie rybie. Niebawem wszystko zakryła skłębiona czerń.

Ogromna chmura wypuszczonego przez krakena atramentu rozlała się we wszystkich kierunkach.

Conan nie zastanawiał się, czy ośmiornica osiągnęła swój cel, dusząc i pożerając rekina, czy

też chmura atramentu oznaczała, że to rekin zwyciężył, a ośmiornica pod osłoną ciemności

rzuciła się do ucieczki.

Kilkaset jardów dalej Cymmerianin usiadł na dnie oceanu by trochę odpocząć.

Miał jeszcze do

przejścia milę lub trochę więcej. Był bardzo zmęczony, ale pragnienie wydostania się na ląd

szybko pokonało znużenie. Conan powstał ciężko i powoli pomaszerował przez zielonkawą

otchłań. W swym fantastycznym hełmie z połyskującego kryształu wyglądał niczym posępny bóg

głębin.

Zatopione głęboko, w mistycznej czerwieni,

gdzie słońca zachodzą w przepychu zórz.

Zapomniane imperia wciąż trwają niezmiennie

niczym zmory z pradawnych dni.

„Proroctwo Epemitreusa”

ZAGINIONE MIASTO

Conan wyszedł z morza i stanął na kamienistej plaży. Uniósł głowę i ujrzał zachodzące słońce

przeświecające przez blanki nadmorskich murów.

Powoli ściągnął kryształowy hełm, aparat do oddychania i rzucił to wszystko na kamienie.

Zzuł buty i wylał z nich wodę. Potem siedział przez chwilę, dysząc ciężko.

Męcząca i

niebezpieczna wędrówka po dnie morza poważnie podkopała siły starego wojownika.

Cymmerianin wylądował blisko portu. Wzdłuż kamiennych nabrzeży, rozciągających się na

północ i południe, cumowało kilka większych statków. Inne stały na kotwicach. Na pokładach

nie było śladu życia. Załogi siedziały zapewne w kajutach przy wieczornym posiłku lub zeszły na

ład. Ci Antillianie, pomyślał Conan, muszą być głupcami przeświadczonymi o własnej sile, skoro

nie wystawili nigdzie żadnych straży. Nieco dalej, pomiędzy okrętami Antillian, Cymmerianin

dostrzegł kadłub „Czerwonego Lwa”.

Conan był nie tylko zmęczony całodziennym wysiłkiem, ale i potwornie głodny.

Siedząc pod

ciemnym niebem, rozmyślał co dalej robić.

Był tutaj zupełnie obcy, samotny i pozbawiony przyjaciół. Jego wzrost, kolor skóry i rysy

twarzy bardzo odróżniały go od niskich, brązowoskórych Antillian. Dodatkowym problemem był

język. We własnym świecie Cymmerianin potrafił rozmówić się w tuzinie języków. Antillianie

zaś musieli używać jakiegoś dialektu o pradawnym, atlantydzkim pochodzeniu, który w świecie

Conana albo został zapomniany, albo ogromnie się zmienił w ciągu minionych ośmiu tysięcy lat.

Niezależnie od tego wszystkiego, nie mógł jednak siedzieć beczynnym. Musiał jak najszybciej

znaleźć sobie kryjówkę. Podniósł się i przesunął dłonią po murze obronnym odgradzającym

miasto od portu. Mur ten zbudowano z olbrzymich zgrubnie ciosanych głazów.

Zaprawa

między nimi zwietrzała i wykruszyła się pozostawiając szpary, w które można było wcisnąć

palce rąk i nóg. Jako młodzieniec, Conan wspiąłby się na taką ścianę bez wysiłku. Jednak od wielu lat nie zdarzało mu się dokonywać podobnych wyczynów. Uchwyt dłoni nie był już tak silny jak kiedyś, a także zniknęła gdzieś dawna pewność ruchów. Cymmerianin zdjął buty i wetknął cholewy za pas. Kusiło go, by zrzucić z siebie kolczugę, ale postanowił ją zatrzymać. Pozbycie się jedynej osłony w obliczu niebezpieczeństwa tylko po to, aby uwolnić się od jej ciężaru, byłoby nieroztropnym działaniem, godnym bezmyślnego młokosa, a nie przebiegłego, starego wojownika. Zaczął się wspinać wciskając palce w wykruszenia pomiędzy warstwami kamieni. Pełzł po murze powoli niczym wielki jaszczur. Nieraz czuł, jak palce ześlizgują się i prawie pogodził się z myślą, że spadnie i połamie sobie kości. Jednak nie zabrakło mu siły. Na koniec dotarł do blanków i zsunął się na szeroki szczyt muru. Miasto rozpościerało się przed nim. W pobliżu stały rybackie chaty i szopy oświetlone czerwienią zachodzącego słońca. Dym unosił się z otworów w dachach chat. Tu i tam rybacy rozwijali sieci do wysuszenia. Nagie brązowe dzieci biegały wokół zajęte zabawą. Dalej ciągnęły się brukowane ulice, a w ich perspektywie wznosiły się duże i małe kamienne domy. Miasto zbudowano na łagodnym zboczu góry i z miejsca, w którym przykucnął Conan, widać było ulice i place tworzące rodzaj tarasów. Większe budowle zaprojektowano w jednolitym stylu, z grubymi, przysadzistymi i stożkowatymi kolumnami podtrzymującymi ciężkie nadproża o kształcie klinów. Mury ozdobiono stiukami i pomalowano kolorami od ciemnej purpury, przez jasny brąz i szmaragdową zieleń, aż po jaskrawy błękit. Styl architektoniczny przypominał Czarne Khemi lub tajemnicze mury opustoszałych miast, które wiele lat temu Conan oglądał na pustyniach i w dżunglach Południa. Im wyżej wznosiły się ulice, tym bardziej okazałe stały przy nich gmachy. Były to pałace lub świątynie o dachach z czerwonej dachówki i pozieleniałej miedzi.

Mury, gzymsy, obramowania okien i kapitole kolumn pokrywały rzeźbione twarze powykrzywiane w złośliwych grymasach. Papuziodziobe, uskrzydłone, wielonogie istoty, z obcych Conanowi mitów i legend, zdobiły reliefy nad każdym z portali. Na szczycie góry wznosiła się tytaniczna piramida o stromych ścianach, wybudowana z naprzemiennych warstw czarnego bazaltu i czerwonego piaskowca. Pióropusz dymu unosił się z najwyższego poziomu piramidy, gdzie Conan dostrzegł niewyraźny zarys olbrzymiego ołtarza. Szeregi kamiennych stopni, strzeżonych przez kamienne potwory, znajdowały się na każdym z boków piramidy. Budowla emanowała złowieszczą, niepokojącą aurą zagrożenia i strachu. Spoglądając na tę budowlę, Conan poczuł, jak cierpnie mu skóra na grzbiecie, a w piersiach odzywa się pomruk wrogości. Na mrocznych ulicach widać było pojedynczych ludzi. Jacyś żebracy układali się do snu pod gzymsami domów. Tu i ówdzie przemykali spóźnieni przechodnie. Conan poczekał, aż ulice miasta ogarnie zupełny bezruch. Potem podniósł się i zszedł z muru prowadzącymi w dół schodkami. Znalazszy się u podnóża muru, rozejrzał się szybko. Nie stwierdził jednak żadnych oznak, iż został dostrzeżony. Usiadł więc i wdział buty. Jedyłą bronią, jaką posiadał, był dwuręczny miecz oraz sztylet. Nie było to dużo przeciw miastu pełnemu wrogów, ale do zwycięstwa potrzebna była przede wszystkim odwaga i hart ducha. Nigdy nie prosił bogów o więcej. Jak wielki cień Cymmerianin przemknął pomiędzy ruderami i ruszył przez miasto. Szedł przez ciemne zaułki i kręte uliczki, unikając szerokich i prostych alej łączących kolejne poziomy miasta. Chciał wiedzieć, gdzie znajduje się Sigurd i piraci, o ile jeszcze żyli. Być może trzymają ich w pobliżu targu niewolników lub gdzie indziej... W mieście, w którym nie było ani jednego człowieka mówiącego zrozumiałym językiem, Conan miał niewielką szansę odnalezienia i uwolnienia swych towarzyszy. Mimo to nie zamierzał rezygnować. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu

się porzucić kompanów w potrzebie.

Na razie najważniejszą sprawą było znalezienie bezpiecznego schronienia. Tylko gdzie w

mieście pełnym wrogów i niebezpieczeństw można było znaleźć sprzymierzeńców?

W tej kwestii mimo wszystko mógł liczyć tylko na przychyłność swych barbarzyńskich

bogów. Szedł właśnie wąską uliczką, biegnącą pomiędzy dwoma rzędami niewielkich,

jednoizbowych domów, kiedy nagle usłyszał ostry gwizd. Obejrzał się szybko z dłonią na

rękojeści miecza, gwizd zaś powtórzył się w innym miejscu. Kilkanaście kobiet pojawiło się w

drzwiach domów, kiwając na Cymmerianina.

Conan zrozumiał, że zabłądził na ulicę nierządnic. Wybrał dom na chybił trafił i ruszył do

drzwi. Nie było czasu przyglądać się kobietom, by wybrać najbardziej urodziwą.

Nierządnica pociągnęła Conana do swego pokoju. Izdebka była skąpo oświetlona jedną łojową

świecą stojącą na półce wiszącej na ścianie. Kobieta przemówiła potokiem niezrozumiałych

sylab, ale wyciągnięta dłoń, zwrócona grzbietem do dołu, były wystarczająco wymowna.

Conan wyciągnął z za pasa kiesę, wyjął z niej sztukę złota i położył na otwartej dłoni. Kobieta

wzięła monetę, zapiszczała uradowana i rzuciła się Conanowi na szyję. Była pełnych kształtów i

niezbyt ładna. Miała na sobie prostą bawełnianą sukienkę.

–Spokojnie, dziewczyno! – mruknął Cymmerianin. – Ta moneta chyba jest warta kilkudniowego wikt, czyż nie?

Kobieta dotknęła brody i włosów Conana, a kiedy przemówiła, w jej słowach zabrzmiało

rozczarowanie. Barbarzyńca i tym razem domyślił się ich znaczenia.

–Pewnie uważasz, że jestem za stary na te rzeczy, he? – powiedział uśmiechając się

szeroko. – Później to sprawdzimy. Tymczasem, na Croma, daj mi coś do jedzenia, zanim umrę z

głodu! – Pokazał na migi sens tego, co powiedział.

W godzinę później Conan siedział przy posiłku, który przygotowała Catlaxoc. Zgłodniały

Cymmerianin wgrzył się w dużego, pieczonego ptaka o dziwnym smaku. Kobieta stała z tyłu,

czekając aż barbarzyńca skończy jeść.

–A to? Co to jest? – spytał pokazując na osobliwy owoc na stopę długi i porośnięty
rzędami złotych ziaren. – Jak to się je?
Z trudem zdołał jej wyjaśnić, że chce się dowiedzieć nazwy rośliny.
–Mahiz – odpowiedziała.
–Mahiz, he? Cóż, pokaż jak się to je. Chodź tutaj, siadaj i jedz, albo pożrę
wszystko nie
zostawiając nic dla ciebie!
Naśladując nierządnicę, obgryzał rzędy ziaren z kolby kukurydzy, a w
międzyczasie
wypytywał o nazwy innych potraw. Po posiłku on i Catlaxoc mogli już wymienić
kilka prostych
zwrotów.
Na koniec Conan przeplukał gardło dzbanem nie znanego mu sfermentowanego
soku. Czknął
i spojrzał na Catlaxoc, która opuściła oczy i uśmiechnęła się, a potem popatrzyła
znacząco na
alkowę w rogu pokoju.
Conan uśmiechnął się szeroko.
–No cóż, dziewczyno, nie jestem taki młody jak dawniej, a do tego zmęczony
marszem po
dnie morza, walką z ludźmi, rekinami i krakenami. Ale musisz wiedzieć, że dobra
stał nigdy nie
mięknie zbyt łatwo...
Podniósł się, rozprostował, wziął Catlaxoc na rękę i zaniósł do alkowy.
Kilka dni później, wieczorem, Conan pożegnał się z ladacznicą Catlaxoc. Kobieta
przywarła
do niego płacząc i musiał użyć łagodnie siły, by się od niej uwolnić. Cymmerianin
miał teraz na
sobie bawełniany płaszcz i rodzaj spódniczki, noszonej powszechnie na Antilliach.
Catlaxoc
kupiła te rzeczy dla niego i nauczyła podstaw języka tubylców. Conan wiedział już,
że jest w
Ptahuacan, ostatnim mieście Atlantydy, które pozostało na Ziemi. Stare szaty i
broń ukrył w
tobole przewieszonym przez lewe ramię.
Cymmerianin nie ośmielił się pokazać na ulicy za dnia, gdyż jego wzrost, kolor
skóry i rysy
twarzy czyniły go zbyt odmiennym. Dlatego postanowił działać w nocy. Teraz miał
już dobrze
przemyślany plan i należało go zrealizować.
Noc mijała i Conan stracił nadzieję, że znajdzie to czego szukał. Wreszcie, gdy
skradał się

ciemną aleją w stronę wielkiego placu, ogromna postać owinięta w płaszcz z piór wyszła z bocznej uliczki i skierowała się prosto ku niemu. Conan zamarł, potem skoczył na nieznajomego, jak atakujący lew. Zanim mężczyzna zdążył wydać jakiś dźwięk, Conan zdzielił go pięścią w skroń, pozbawiając przytomności. Oglądając swoją ofiarę, pomyślał w pierwszym momencie, że jeśli wojownicy w szklistych zbrojach, ze smoczego statku byli przeciętnymi Antillianami, to ten człek był tu niemal olbrzymem. Dopiero po chwili Conan zobaczył, że mężczyzna ma buty z podeszwą wysoką na osiem cali. Cymmerianin nie miał pojęcia, do czego mogła służyć ta mistyfikacja.

Nieznajomy wyglądał na kapłana lub czarownika: ogolona głowa, ręce pokryte pierścieniami, łańcuchy z pieczęciami, amulety i maleńkie idole na cienkim rzemyku owiniętym dookoła szyi. Conan przyjrzał się dłoniom mężczyzny. To musiał być kapłan? Żadne inne zajęcie nie czyni rąk tak miękkimi i delikatnymi. Nieznajomy pod płaszczem z piór był prawie nagi, pomijając wąską spódniczkę z ułożonej w fałdy bawełny. Grube bransolety ze złota, ozdobione zawiłymi ornamentami, okrężały jego nadgarstki, ramiona i kostki nóg. Płaszcz miał kaptur ozdobiony piórami. Szatę utkano z grubej wełny, a pokrywające ją pióra były białe. Dutki piór przeciągnięto pomiędzy splotami wełny i umocowano z drugiej strony. Podbicie płaszcza stanowiła cienka, szkarłatna tkanina podobna do jedwabiu, chroniąca ciało przed szorstką, kłującą powierzchnią. Conan stwierdził, że jeśli wdzieje szatę bez podwyższonych butów, to będzie tylko trochę wyższy niż jej dotychczasowy właściciel. Z kapturem na głowie Cymmerianin mógłby pójść wszędzie bez zwracania na siebie uwagi. Jednak nawet kaptur nie był w stanie ukryć posiwialej brody, która nie pasowała do ogolonej twarzy kapłana. Conan rozwiązał ten problem odrywając kawałek czerwonego podbicia i owijając tym dolną część twarzy. Potem wzuł buty i kolczugę, a miecz zawiesił u boku. Wdział płaszcz i naciągnął kaptur.

Nie miał sposobności ocenić efektu, ale uznał, iż nie powinien zwrócić uwagi przypadkowych przechodniów. Jego błękitne oczy i szkarłatna szarfa dookoła twarzy mogłyby wzbudzić zainteresowanie, ale Conan nie przejął się tym. Z doświadczenia wiedział, że kapłani i magowie nie bywają zaczepiani przez zwykłych ludzi, którzy raczej unikają spotkań z przedstawicielami wyższej kasty.

Cymmerianin śmiało wszedł na plac oświetlony światłem księżyca oraz kilkoma pochodniami wetkniętymi w pierścienie na murach budynków. Niebawem jego przebranie zostało poddane próbie. Zaraz za rogiem brunatnoskory kupiec zwijał przed nocą swój stragan. Człowiek ten pakował właśnie ozdoby z miedzi, jadeitu, srebra i złota, gdy Conan pojawił się w jego polu widzenia. Kupiec natychmiast zgiął się w pokłonie, schwycił amulet z jadeitu wiszący mu na piersiach i pozostał w tej pozycji, dopóki Cymmerianin nie przeszedł.

Nie ulegało wątpliwości, że Antillianie bali się swoich kapłanów i byli im posłuszni. Przy odrobinie ostrożności i szczęścia Cymmerianin nie musiał więc obawiać się zatrzymania.

Tę noc i cały następny dzień Conan krążył po Ptahuacan, nie budząc żadnych podejrzeń. Kapłani w podobnych szatach byli zwyczajnym widokiem na ulicach ostatniego z atlantydzkich miast. Później, kiedy ulice stały się zupełnie puste, Cymmerianin znalazł opuszczoną, walącą się chatę i tam spał do świtu. Potem znów ruszył na poszukiwania.

W porannym blasku Conan ujrzał tuzin innych postaci w szatach z piór, kroczących wyniośle na koturnowych podeszwach butów. Szli dostojnie przez tłum, nigdy nie odpowiadając na pokorne pozdrowienia tych, których mijali. Wyglądało na to, że kapłani starej Atlantydy byli również rządcami tego miasta, ludność zaś była im całkowicie podporządkowana.

Conanowi lud Ptahuacan wydał się jedną wielką masą przestraszonych twarzy. Mieszkańcy miasta z lękiem w ciemnych oczach pośpiesznie schodzili z drogi wysokim kapłanom w szatach z piór.

Ptahuacan było cudem architektury, łączącym wyrafinowaną kulturę ze starożytną tradycją i dobrze rozwiniętymi kanonami artystycznymi. Kamieniarstwo stało na znacznie wyższym poziomie w stosunku do tego, co Conan widział we własnym świecie. Nawet miasta Aquilonii nie mogły dorównać Ptahuacan ogromem budowli czy perfekcją kamieniarskiej roboty.

Fantastyczna świątynia na szczycie góry była większa od najpotężniejszych piramid Stygii. Jej budowa musiała trwać setki lat. Dookoła świątyni biegły amfiteatralnie wznoszące się stopnie, zdolne pomieścić tysiące widzów.

Conan spędzał najwięcej czasu na placu przy piramidzie, gdyż był to doskonały punkt obserwacyjny. Widać stąd było całe miasto i główne wejście świątyni, a przy okazji można było uniknąć spotkania z kapłanami. Ci na szczęście nie byli zbyt towarzyską kastą. Nieprzystępni i zajęci własnymi sprawami, rzadko zatrzymywali się, by pomówić ze sobą.

W miarę możliwości Conan starał się podchodzić blisko rozmawiających ludzi. Rozumiał już wiele słów i mógł samemu powiedzieć kilka zdań. Chociaż gramatyka była zupełnie inna niż w jakimkolwiek języku hyboriańskim, to niektóre ze słów przypominały wyraźnie ojczystą mowę Conana.

Stary Cymmerianin przypominał sobie legendy, mówiące o tym, że Atlanci byli przodkami Cymmeryjczyków. W mało znanych czasach przed Katakлизmem, plemiona i klany dawnej Cymmerii wojowały i mieszały się z kolonistami z Atlantydy. Zanim ocean pochłonął ten kontynent, wielu cymmeriariskich najemników służyło w armiach atlantydzkiego imperium. Tak powstały podobieństwa w językach ludów żyjących po obu stronach Oceanu Zachodniego.

Zbieżności te nie były jednak wystarczające, aby Conan mógł w ciągu kilku dni nauczyć się antilliańskiej mowy.

Z podsłuchanych słów i strzępów zdań, które zdołał zrozumieć, Cymmerianin zorientował się, że aktualnie w Ptahuacan plotkowano głównie na dwa tematy. Pierwszym z nich

była walka

między smoczym statkiem ze straży morskiej i obcym okrętem z nieznanymi stronami. Drugim zaś

bluźnierczą napaść na jednego z kapłanów, którego, rzecz nie do wiary, okradziono ze świętej

szaty z piór. Conan spragniony nowin nasłuchiwał, gdzie przebywa i jak się ma jego załoga, lecz

jeśli ktoś znał odpowiedź na to pytanie, to zachowywał tę wiedzę wyłącznie dla siebie.

W pewnej chwili, gdy Cymmerianin przechodził koło kramów na zatłoczonym targowisku,

pojawiła się szansa rozwiązania tego problemu. Mały człowieczek w podartej przepasce

biodrowej podszedł z obojętną miną do okutej miedzią skrzynki, w której jeden z kupców

trzymał sprzedawane wyroby: kule z ołowiu, pierścienie z miedzi i srebra, tulejki ze złotym

pyłem. W momencie gdy Conan na niego patrzył, złodziej ze zręcznością i szybkością

atakującego węża zanurzył chudą rękę w skrzyni, chwytając dwie tulejki ze złotym pyłem.

Kupiec, zajęty rozmową z bogato ubranym klientem, nic nie zauważył. Conan uśmiechnął się,

obserwując jak złodziej odchodzi na bok, a tulejki znikają w fałdach jego przepaski.

Człowieczek przemknął chyłkiem przez bazar, a Conan ruszył za nim pustą aleją. Chwilę

potem jednym skokiem dopadł małego Antillianina, który pisnął jak przestraszona mysz, kiedy

potężna dłoń Cymmerianina zacisnęła się na jego cienkim ramieniu. W następnym momencie

Conan odbił pchnięcie ostrego jak igła noża z obsydianu, który pojawił się nie wiadomo skąd, i

wykręcił rękę mężczyzny. Nóż o ostrzu z wulkanicznego szkła zadzwonił na bruk.

Kiedy złodziej podniósł przerażone oczy na olbrzyma w kapturze z piór, Conan warknął po

antilliańsku, potwornie kalecząc zgłoski:

–Zaprowadź mnie do króla złodziei, albo złamię ci rękę!

Nareszcie kości w tej grze odwróciły się na korzyść Cymmerianina. Tak jak wszystkie wielkie

miasta, również Ptahuacan musiał mieć swój podziemny świat przestępców, zorganizowanych w

bractwo złodziei.

Zła istota z Mroku przybyła

z odległych wymiarów,

Ci co uchwycili jej bramy,

zginą, jak całe doczesne życie.

„Proroctwo Epemitreusa”

ZŁODZIEJE Z PTAHUACAN

Jeniec poprowadził Conana przez najędzniejsze dzielnice starożytnego miasta.

Tutaj

bezdomni nędzarze i brudni żebracy leżeli w poprzek chodników. Wymalowane dziewczki

wychylały się z okien, obrzucając się wyzwiskami i nagabując przechodniów.

Conan uświadomił

sobie niewyobrażalny wiek miasta. Niektóre kamienne stopnie i pochylnie zostały zeszlifowane

w ukośne siodła przez kroki niezliczonych pokoleń. Kamienne balustrady były wyślizgane

dotykami milionów dłoni. W innych miejscach deszcz i wiatr zmieniły głązy w bryły porowatej,

rozsypanych się masy. W tej części miasta wiele domów leżało w gruzach. Trawa rosła pomiędzy

rozluźnionymi kamieniami bruku, a drzewa wypełniały gmatwaniną gałęzi opuszczone ogrody i

podwórza. Jeżeli widok kapłana w szacie z piór był tu czymś niezwykłym, to żaden z

mieszkańców nie dał tego po sobie poznać. Na widok Conana ciągnącego ze sobą małego

złodzieja o szczurzej twarzy zaledwie jeden człek podniósł na nich zdziwione oczy. Wydawało

się, że w tej części Ptahuacan istnieje zwyczaj ostentacyjnego ignorowania poczynań innych.

Każdy pilnował tylko własnej skóry. Bez wątpienia kwitło tutaj bezprawie.

Kiedy dotarli na miejsce, stanęły przed nimi dwie tęgie postacie uzbrojone w pałki.

Następnych dwóch pojawiło się tuż za nimi. Jak na Antillian, byli to wielcy i tędzy mężczyźni.

Ubrani byli tylko w przepaski z połatannej skóry. Patrzyli na Conana zimnym, ponurym

spojrzeniem czarnych oczu, zbliżając się z obydwu stron.

Conan puścił jeńca, aby położyć dłoń na rękojeści miecza ukrytego pod szatą.

Mały złodziej

odsunął się o krok, a potem wyrzucił z siebie potok słów zbyt szybki, by Conan mógł go

zrozumieć.

–Chapnął mnie po tym, jak wziąłem trochę złotego pyłu z budy Hatupera – tłumaczył się

złodziej. – Nie wiem, czego on chce w imię piekła, ale...

–Spadaj, Itzera – warknął jeden ze zbirów. – Dowiemy się czego chce. – Zbliżył się szybko, unosząc maczugę nabijaną miedzianymi ćwiekami.

Conan parsknął śmiechem odrzucając kaptur i szatę z piór. Szeroki miecz syknął opuszczając

pochwę. Tamci zatrzymali się nagle, jak zaczarowani. Powodem tej reakcji nie był jednak strach.

–O władco piekieł... żelazo, albo jestem ślepcem! – sapnął ze zdumienia jeden z nich.

Drugi mruknął coś, przypatrując się Conanowi. Wzrost, nie strzyżona broda, włosy oraz

pałające błękitne oczy barbarzyńcy wprawily Antillianina w osłupienie.

–Na bogów śmierci, kim on jest? – syknął. – Takich mężczyzn nigdy nie było na żadnej z

wysp!

Wsparty plecami o mur, Conan uśmiechnął się kołysząc mieczem z boku na bok.

–Ktoś, kto ukradł kapłanowi taką szatę, przyjaciele, na pewno nie szpieguje dla waszych

władców! – zagrział Cymmerianin z trudem dobierając słowa. – Ja chcę mówić z waszym

królem w dobrym interesie dla obydwu. I będę z nim mówić, czy to się wam podoba, czy nie!

Uniósł miecz tak, że dzienne światło zamigotało na ostrzu. Tamci czterej i rzezimieszek

cofnęli się, spoglądając na przeciwnika ze wzrastającą trwogą. Miecz Conana wydawał się

wzbudzać większy lęk niż on sam. Należało przypuszczać, że zapewne z braku rud stopy żelaza

były tutaj nieznane i tylko w legendach przetrwały opowieści o żelazie i stali ze starożytnej

Atlantydy.

–No! – mruknął Conan. – Zaprowadzicie mnie do swego wodza, czy wolicie walczyć?

Miejscowym przywódcą podziemia był nieprawdopodobnie gruby człowiek imieniem

Metemphoc. Twarz jego była kulistą bryłą słoniny, w której dwoje oczu połyskiwało jak kawałki

szlifowanego obsydianu. Usta o cienkich wargach rozcinały okrągłe oblicze, a nos był zaledwie

kroplą pomiędzy rozdętymi policzkami.

Kwaterę króla złodziei tworzył ciąg opuszczonych piwnic biegnących pod zrujnowanymi

domami. Ściany lochów obwieszono wspaniałymi gobelinami, a na kamiennej podłodze

rozłożono maty i garbowane skóry wielu rodzajów zwierząt. Srebrne kadzielnice wypełniały

powietrze mieszaniną cudownych woni. Luksus i jaskrawy przepych apartamentów Metemphoca żywo kontrastował z nędzą panującą na zewnątrz.

Król złodziei wyglądał jak gruba ropucha owinięta wspaniałym brokatem. Leżał na stercie poduszek i słuchał opowieści Conana z kamienną twarzą i błyszczącymi zimno oczyma. Nie wyrzekł ani słowa, dopóki Conan nie skończył. Potem, przez denerwująco długą chwilę Metemphoc przyglądał się Cymmerianinowi, patrząc to na miecz, to na właściciela żelaznej broni. Na koniec król złodziei podparł tłuste podgardle pękatymi palcami, na których skrzyło się mnóstwo pierścieni, roześmiał się gardłowo i zawołał o mięso i wino.

– Na wszystkich bogów, wielkoludzie! – zachichotał Metemphoc – Nie słyszałem dotąd takiej opowieści, jak długie i liczne są dni mego życia, a zatem to musi być prawda! Tak, z taką barbarzyńską grzywą, obrośniętą twarzą, oczami koloru nieba i, hmm, akcentem, od którego mogą odpaść me biedne, stare uszy, nie mogę nie wierzyć, że przybyłeś z nieznanego lądu na wschodzie. Jednakowoż, nasi ukochani panowie, święci kapłani, ha!, wmawiają nam, że nie ma tam nic, prócz bezkresnej wody, bez najmniejszej okruszyny lądu.

Przyjacielsko stuknęli się kielichami. Conan przełknął słodkie i cierpkie wino, jakiego nigdy dotąd nie próbował. Niewątpliwie, napój zrobiono nie z winogron, tylko z jakichś miejscowych owoców.

Barbarzyńca poczuł się całkiem jak w domu. On i ropuchowaty wódz złodziei rozumieli się bez słów. Chociaż urodzeni o tysiące mil od siebie, w różnych kulturach, w głębi serca posługiwali się tym samym językiem bezprawia.

Niebawem przyniesiono jedzenie i ustawiono pomiędzy nimi na niskim stole. Zgłodniały Conan rzucił się na posiłek. Obok antilliańskich potraw, które już znał, były jeszcze orzechy i jagody. Na deser przyniesiono dziwne, duże i kłujące owoce z pękami sztyletowatych liści wyrastających ze szczytu. Ich oryginalny smak całkowicie zaskoczył Conana. W trakcie posiłku Cymmerianin zapytał o swych piratów.

–Tak, wiem o dziwnym statku, pełnym cudzoziemskich barbarzyńców, który
nasza morska
straż zdobyła kilka dni temu – powiedział Metemphoc. – Jest to jedyny powód, dla
którego
jestem skłonny ci wierzyć.
–Czy moi ludzie żyją, a jeśli tak, to gdzie są?
–Żyją, lub żyli do ostatniej nocy, a są w lochach pod Przedsionkiem Bogów. To ta
szara
cytadela stojąca na skraju Placu Wielkiej Piramidy.
Conana zastanowiło, że przebiegły przywódca podziemia tak chętnie i szczerze
udziela mu
informacji, jakich potrzebował. Widać było wyraźnie, iż chłodny i jasny umysł
Metemphoca
poszukuje sposobu zrobienia na obcym dobrego interesu.
–Jaki będzie ich los?
–Zostaną złożeni w ofierze na szczycie Wielkiej Piramidy.
–Hę? – Conan poruszył się gwałtownie.
–Będą ofiarowani bogowi Xotli, w trakcie rytuału pochodzącego ze starożytnej
Atlantydy...
–wyjaśnił gospodarz.
Włosy na karku Conana zjeżyły się, kiedy Metemphoc z kamiennym spokojem
objaśnił mu
miejscowe zwyczaje. Przed zatonięciem Atlantydy kapłani Xotli czcili swego boga-
demona w
straszliwym rytuale krwi i przerażenia. Kiedy Starzy Bogowie zniszczyli Atlantyde
za jej
grzechy, kapłani Xotli i ich niewolnicy uciekli z tonącego lądu na potężnej flocie
latających
statków, napędzanych tajemniczą siłą vril.
Conan słyszał wcześniej legendy o podniebnych statkach Atlantów. Rozumiał, że
z biegiem
czasu statki te zostały zniszczone lub ich moc wyczerpała się, a tajemnice
budowy zaginęły w
tysiącleciach barbarzyństwa, które nastąpiły po Katakлизmie.
–Kapłani Xotli – ciągnął Metemphoc – wywędrowali ze skazanego kontynentu na
południowy zachód i wylądowali na mało znanym łańcuchu wysp zwanych Antillie.
Łańcuch
zawiera siedem dużych wysp leżących na Oceanie Zachodnim pomiędzy
zatopioną Atlantydą i
dużo większym kontynentem zwanym Mayapan, a położonym dalej na zachód.
Wyspy te były w
posiadaniu rasy niewysokich, brunatnych i skośnookich dzikusów, podobnych do
ludzi z

Mayapan. Atlanci bez trudu podbili tubylców i zamienili ich w niewolników. Przez tysiąclecia,
które minęły od Kataklyzmu, krew Atlantów i tubylczych Antillian wymieszały się ze sobą i
dzisiaj wyspy zamieszkuje już tylko jedna rasa.
Od czasu zdobycia Antilli i zbudowania Ptahuacan, kapłani Xotli, zorganizowani w Hierarchii
Świętych Tajemnic Xotli, rządzą tutaj żelazną ręką. Hierarchowie trzymali lud w posłuszeństwie
głosząc, że wszystkie lądy, nawet Mayapan, zatoniły razem z Atlantydą i cały świat stał się
morską pustynią, która rozciąga się od Antilli we wszystkich kierunkach, aż po krańce świata,
tam gdzie morze spotyka niebo, a gwiazdy wznoszą się z piany nieskończonego oceanu.
–Czy ty w to wierzysz? – spytał Conan.
Metemphoc roześmiał się rubasznie.
–Gdyby zapytał mnie kapłan, powiedziałbym: tak. Dużo ludzi wierzy, a innym brakuje
śmiałości, by dyskutować z kapłanami. Kilku z nas wiedziało jednak, że Mayapan istnieje. Teraz
twoje przybycie dowodzi, że istnieje też ląd po drugiej stronie wód.
–Dlaczego kapłani głoszą te kłamstwa?
–Pomaga to w utrzymaniu poddanych w posłuszeństwie. Jeśli ludzie wierzą, iż nie ma
innego lądu, na który mogliby zbiec, to nie będą próbowali uciekać spod żelaznych rządów
kapłanów Xotli.
–Opowiedz mi o tym bogu-demonie i jego rytuałach.
–Xotli, Władca Strachu – rzekł Metemphoc – jest bogiem-demonem z Pradawnej Nocy.
Pojawia się zwykle pod postacią czarnej chmury lub lodowatego wiru spijającego dusze zabitych
na ołtarzu na szczycie piramidy. Siła życiowa ofiar umożliwia zachowanie więzi pomiędzy
Hierarchią a Władcą Strachu przebywającym w zaświatowych otchłaniach.
Gruby król złodziei opowiedział Conanowi o nagich jeńcach zabijanych tysiącami na szczycie
czarno-szkarłatnej budowli. Tam, na Ołtarzu Wiecznej Nocy, kapłani rozcinali piersi ofiar
nożami z wulkanicznego szkła, wydzierali im serca i ofiarowywali je wirującej chmurze
wampirycznej ciemności, która pojawiała się wtedy nad piramidą i wisiała

godzinami, karmiona

żywą siłą ludzkich dusz. Zwłoki ofiar zrzucano w dół w studnię bez dna.

W trakcie opowieści Conan pomrukiwał, a jego oczy miały gniewne ognie. Sama idea

składania ludzi w ofierze nie poruszyła go zbytnio. Widział wiele krwi na drogach swego

długiego życia, a podobne praktyki nie były nieznane narodom, wśród których przebywał. Jednak

fakt, że to jego przyjaciele i podwładni mieli zginąć w tym barbarzyńskim rytuale – to było coś

zupełnie innego!

Zalał swą wściekłość cierpkim winem i zapytał:

–A skąd pochodzą Czerwone Cienie?

Conan dowiedział się wtedy, iż ludność Antilliów zaczęła się zmniejszać z powodu nadmiernych ofiar i dlatego kapłani zmuszeni byli podróżować w dalekie strony, by chwycić

odpowiednią liczbę jeńców, niezbędnych dla zaspokojenia pragnienia Xotli.

Najpierw wyprawiali

się na wybrzeża Mayapanu. Później, kiedy tubylcy skryli się w głębi niezbadanych lasów,

kapłani zaczęli szukać gdzie indziej.

–Czerwone Cienie, jak je nazywasz – mówił Metemphoc – są służebnymi duchami

Najciemniejszego. Nie wiedziałem, że Hierarchowie, oby ich dusze odrodziły się jako robaki,

wyprawiali się na wschód. Czarny Xotli musi być bardzo głodny! Nasze ofiary wzrosły ostatnio

tak bardzo, że miasto jest wyludnione, jak zapewne zauważyłeś. Są ulice, przy których nie

mieszka już nikt. Tysiące ludzi uciekło w góry lub na sąsiednie wyspy. Ale kapłani dopadają

zbiegów i tak. Morska Straż, która pojmała twój okręt, obserwuje zatokę i chwytą każdego, kto

wątpiąc w słowa kapłanów, próbuje uciec na ląd za morzem.

Żyłaste, pokryte bliznami dłonie Conana otwierały się i zamykały, jak gdyby zaciskały się na

ludzkim gardle.

–Teraz rozumiem, czym są Czerwone Cienie – warknął Cymmerianin – i jak dotarły do

mojego świata. Wiem też, że gdy mroczne siły raz zyskają oparcie w świecie ludzi, to potrzebują

stałe rosnącej liczby ofiar dla podtrzymania swego bytu. Demony Pradawnej Nocy są – nie

wiem, jak to wyrazić w waszym języku – są zaprzeczeniem istnienia. Nie są

niczym, ale czymś

mniej niż niczym. Życiowe siły ofiar wypełniają pustkę ich fałszywego istnienia.

Jednak ta

próżnia nigdy nie może się wypełnić. Demony potrzebują więc coraz więcej i więcej krwi, by

podtrzymywać swój pozór życia. Czy rozumiesz mnie?

–Rozumiem – potwierdził Metemphoc – Mów dalej.

–Musicie ich powstrzymać za wszelką cenę. Inaczej niepohamowani słudzy

Czarnego Xotli

spustoszą wszystkie krainy tego świata, aż cała planeta zostanie oczyszczona z ludzi. Potem ci

szaleńcy zaczną zabijać zwierzęta, by w końcu zostawić świat rybom i robakom.

To przed tym

cień Epemitreusa usiłował mnie przestrzec. Ten wynaturzony kult powinien być zatonać razem z

Atlantydą osiem tysięcy lat temu.

–Z tego co powiedział duch twego mędrca – podsumował Metemphoc – wynika, iż bogowie wybrali cię, byś stanął pomiędzy ludźmi a Cieniem Zła. Tylko ty możesz

wyrównać

zachwianą szalę życia i śmierci.

–Tak – mruknął Conan. – Ale jak?

**Płoną oczy hordy obłąkanej krwią,
tryskającą w mrocznej jaskini.**

**Błyszczą białe zęby w mroku tunelu,
pędzących piszczącą chmarą.**

„Podróże Amry”

CZARNY LABIRYNT

Conan szedł ciemnym tunelem, w którym stalaktyty zwieszały się spod sklepienia, jak

kamienne draperie, a z ich szpiców z rzadka skapywały krople wody. Dno jaskini pokrywał muł i

szlam. Tu i ówdzie szklistymi garbami wyrastały obłe stalagmity.

Zimne, wilgotne powietrze wypełniał wstrętny odór. Słaby powiew muskał chwilami twarz

Conana, służąc mu za przewodnika. Stary Cymmerianin szedł przez Czarny Labirynt, który

setkami mil rozciągał się pod Ptahuacan.

Dzień wcześniej Metemphoc zapewniał Conana, że nie ma żadnego sposobu, aby jeden

człowiek zdołał wejść do silnie strzeżonej twierdzy, w której trzymano piratów czekających na

Dzień Ofiary, mający nastąpić za dwa dni. Niezliczone straże, bramy oraz drzwi z potężnymi

sztabami uniemożliwiały dostęp do wnętrza kapłańskiej fortecy z każdej strony.

Jednakże Conan za nic nie dawał się skłonić do rezygnacji z tego zamiaru.

Dręczony nie

kończącymi się pytaniami, król złodziei wspomniał wreszcie o starożytnym labiryncie jaskiń

leżących pod miastem. Jak powstały, tego nikt nie potrafił powiedzieć. Ptahuacan wybudowano

na pokładach wapiennych skał i tunele te najprawdopodobniej były dziełem podziemnych

strumieni.

Złodzieje dobrze znali najwyższe poziomy jaskiń i często ich używali. Jednak nawet oni

omijali głębiej położone pieczary. Pomiedzy ludźmi Metemphoca krążyły podnoszące włosy na

głowie opowieści o dziwnych krzykach dochodzących z cuchnących głębin, o dziwacznych

kształtach widzianych przez mgnienie oka i o ludziach, którzy odważyli się zejść do najniższych

tuneli, po czym zniknęli na zawsze.

Zdaniem Metemphoca głęboko położone korytarze mogły być połączone z lochami

Przedsionka Bogów. Ta wiadomość sprawiła, że Conan postanowił zaryzykować. Gruby

przywódca złodziei przyjął tę decyzję Cymmerianina ciężkim westchnieniem, a następnie

wezwał swych przybocznych na radę. Zaczęto przeszukiwać archiwa złodziejskiej gildii.

Odgrzebano starożytne mapy tuneli i Conan zagłębił się w pergaminach, zapamiętując przebieg

jaskiń oraz znaki orientacyjne, dzięki którym mógł odnaleźć drogę do celu. Teraz skradał się w

ciemności najgłębiej położonych korytarzy W ręku niósł latarnię ofiarowaną mu przez

Metemphoca. Latarnia ta składała się ze zbiornika na olej, z którego wystawał knot. Obok

płomienia znajdowało się zaopatrzone w uchwyt zwierciadło, ustawione tak, by światło padało

tylko w jedną stronę. Jak zapewniał Metemphoc, zapas oleju w cylindrycznym zbiorniku

wystarczał na kilkanaście godzin.

Tu i ówdzie, pomiędzy wylotami rozgałęziających się tuneli, namalowano czarne znaki. Tam

gdzie nie było żadnych widocznych oznaczeń, znakami orientacyjnymi były charakterystyczne

formy naciekowe, na przykład stalagmit przypominający pająka.

Conan szedł naprzód, cały czas czując na twarzy wilgotny powiew płynący z nieznanych

głębin. Wokół Cymmerianina rozlegały się osobliwe, na wpół rzeczywiste glosy, które

zawodziły, jęczały i szeptały. Co jakiś czas rozlegał się niesamowity krzyk, przechodzący od

rozdzierającego wrzasku agonii do westchnienia zamierającego wiatru.

Niekiedy Conanowi wydawało się, że słyszy czyjeś kroki dochodzące z ciemnych, bocznych

korytarzy. Ciche słowa lub drwiące śmiechy budziły w barbarzyńskiej duszy Conana zabobonny

strach, który dławiała żelazna wola Cymmerianina.

Jeszcze innym rodzajem dźwięków były odgłosy ślizgania, jakby ogromny robak pełzł po

kamiennej podłodze. Nawet tak zaprawiony w bojach stary wojownik, jak Conan, nie mógł

powstrzymać dreszczu zgrozy, gdy zastanawiał się, jakie potwory mogą mieszkać w tych nie

znających słońca głębinach jaskiń.

Cymmerianin tłumaczył sobie, że jęki i lamenty były po prostu odgłosami wiatru

wiejącego poprzez rozgałęzione korytarze. Śmiech był zniekształconym przez echo bulgotaniem

podziemnych wód. Odgłos pełzania mógł być spowodowany powolnym osuwaniem się ziemi...

Conana przeszły ciarki, gdy nagle poczuł na sobie spojrzenie niewidzialnych oczu przyglądających mu się z ciemności. Wędrował przez podziemne korytarze już ponad dwie

godziny. Ślizgał się na mokrych kamieniach, potykał na nierównościach, przeskakiwał

rozpadliny przecinające ścieżkę, uderzał głową o stalaktyty, przeciskał wąskimi przesmykami,

gramolił w górę i w dół oślizgłymi, stromymi zboczami. Spłoszył przy tym gromadę wiszących u

stropu nietoperzy. Te, rozzłoszczone, ze skrzekiem odleciały w ciemność.

Wtem instynkt barbarzyńcy znów dał mu znać, że jest obserwowany.

Zwolnił kroku i szedł, czujnie nasłuchując. Patrzył w czarne gardziele jaskiń, wypatrując

antilliańskich żołnierzy, ale nie dostrzegł żadnego znaku obecności ludzi.

Wrażenie, iż jest

śledzony, stawało się jednak coraz wyraźniejsze. Conan zastanowił się, czy kapłani Antilliów nie

posiadają przypadkiem kryształowych kul, które mogli odziedziczyć po atlantydzkich przodkach,

a za pomocą których mogli obserwować teraz każdy jego ruch?

Stanął wstrzymując oddech. Daleko za nim rozległ się metaliczny szcęk, jakby otwieranej

bramy. Czy tylko mu się to wydawało?

Dźwięk powtórzył się. Potem rozległ się stłumiony pisk, stukot i szelest.

Cymmerianin

pomyślał, że nieznany obserwator wypuścił za nim stado małych zwierząt zgrzytających po

kamiennych posadzkach tysiącami pazurów.

Odgłosy przybrały na sile i stały się wyraźne. Conan wymruczał imię Croma, pół w przekleństwie, pół w modlitwie. Gotów był już uwierzyć, że tunele są

przegrodzone kratami, a

jacyś czujni strażnicy zauważyli jego obecność i szykowali się, by go osaczyć.

Conan odwrócił się i oświetlił tunel za sobą. Światło odbiło się czerwono od setek par małych

oczku poruszających się tuż nad ziemią. Jego prześladowcy jak fala wtargnęli w smugę światła.

Były to szczury i to jakie!

Cymmerianin miał już do czynienia z szarymi szczurami krajów hyboriańskich, czarnymi z

Venedhii i tęgimi brązowymi szczurami z Hyrkanii. Jednak te tutaj przewyższały szczury jego

świata, tak jak normalny szczur przewyższa mysz. Były wielkości małych psów i ważyły po kilkanaście funtów. Ich białe zęby kłapały pożądamc mięsa i krwi. Conan odwrócił się i pobiegł. Rytm kroków zgrał się z łomotem ciężko pracującego serca. Przeciw tej krwiożerczej hordzie miecz był bezsilny, a on, największy wojownik ery hyboreańskiej, w ułamku chwili mógł zostać pochłonięty przez tę falę piszczących i kęsających gryzoni. Biegł teraz tak szybko, jak nigdy w życiu. Szybciej niż pięćdziesiąt lat temu, gdy po wydostaniu się z zagrody dla niewolników w Hyperborei uciekał wśród deszczu i śniegu przed zgrają wilków następujących mu na pięty. Niebawem każdy oddech parzył mu płuca tak, jak gdyby wdychał żar z pieca. Serce tłukło się o żebra, a nogi zaczął zalewać ołów. Mięśnie bolały, jakby demony przebijały je rozpalonymi igłami. Mimo to biegł nie ustając. Pęd powietrza pochylił w tył płomyk lampy. Tuż za Conanem szczury mknęły i skakały, utrzymując dystans kilkunastu kroków. Czasami któryś potykał się i wpadał pod nogi innym, następowała wtedy krótka wymiana pisków i ugryzień. Lecz reszta gromady pędziła dalej, wpatrzona w uciekającą ofiarę. Wtem Cymmerianin usłyszał przed sobą szmer płynącej wody. Po kilkunastu krokach zobaczył rwący czarny potok i przez chwilę miał nadzieję, iż jest on dość wąski, by móc go przeskoczyć i uwolnić się od szczurów. Strumień miał jednak ponad dwadzieścia stóp szerokości. Była to zbyt szeroka przeszkoda, by Conan zmęczony biegiem i obciążony bronią mógł pokonać ją jednym skokiem. Dawno temu, w pełnych wigoru młodych latach, dokonałby tego z łatwością, ale teraz... Conan odwrócił się do napastników i stanął na szeroko rozstawionych nogach. Ciężko dyszał wciągając w płuca zimne, wilgotne powietrze, które cuchnęło teraz odorem tysięcy szczurów. Wyciągnął miecz szykując się do ostatniej walki. Nic co żyło, nie mogło pokonać hordy oszalałych z głodu gryzoni, ale swą ostatnią chwilę

życia Conan postanowił przeżyć walcząc. Miał jeszcze dość siły. Mimo wieku mógł łamać karki
ludziom o połowę młodszym od siebie. Jeśli żadne śmiertelne oczy nie mogły być świadkiem
ostatniej potyczki Conana z Cymmerii, to tylko bogowie będą rozkoszować się tym
widowiskiem.
Conan stał na trójkątnym występie skały, sterczącym nad podziemną rzeką,
niczym
miniaturowy przylądek lub półwysep. W tym miejscu szczury nie mogły dotrzeć do niego z
boków i z tyłu. Mogły atakować tylko z przodu.
Z gardzieli tunelu wylała się masa czarnoszarego futra, czerwone oczy podobne były do
gwiazd z jakiegoś przeklętego wymiaru nieba. Piskliwy szczebiot i zgrzyt pazurów zagłuszyły
szum rzeki.
Conan postawił latarnię między stopami i ujął miecz oburącz. Zaintonował bojową pieśń
swego barbarzyńskiego ludu, a szczury były już przy nim. Pierwszy, który dostał się w zasięg
miecza, przecięty na pół przeleciał nad całą hordą. Potem ciężki miecz zawirował jak skrzydło
wiatraka, kreśląc mordercze ósemki. Czubek ostrza raz po raz ginął w skłębionej masie. Po
każdym ciosie kilka szczurów odlatywało na bok w kawałkach, z odciętymi kończynami lub
wyprutymi flakami. Krew opryskiwała nogi Cymmerianina, a raz czy dwa czubek miecza dotknął
kamieni, tworząc półkolisty snop iskier.
Jednak napór całej gromady pchał pod migoczące ostrze wciąż nowe zastępy. Część szczurów
zaczęła ucztować na okaleczonych szczątkach martwych braci. Conan ciągle dorzucał im nowe
dania. Ostrze było już czerwone do rękojeści, a kamienie pod stopami stały się śliskie od krwi.
Przy każdym cięciu z miecza spadał deszcz czerwonych kropel.
Pomimo tej rzezi nie udało się utrzymać gryzoni na dystans. Kilka szczurów wbiło spiczaste
zęby w twardą skórę na butach Cymmerianina. Conan wściekle kopał i deptał, wygniatając życie
z tych, które roily się u jego stóp. Następne szybko zajmowały wolne miejsca. Jeden wdrapał się na cholewę buta i ugryzł Conana w udo. Szybkie cięcie przez

grzbiet

strąciło napastnika w dwu połówkach. Inne dotarły do brzucha i piersi, ale próby kłosaania

udaremniła kolczuga. Kolejny gryzoń wykonał ogromny skok, lądując na piersi Conana i usiłując

sięgnąć gardła. Cymmerianin zdusił go, zanim wąsaty pysk dotknął szyi. Potem potężnym

kopniakiem zepchnął do rzeki całą gromadę szczurów.

Walka wydawała się nie mieć końca. Buty i kolczuga ochroniły Conana na tyle, że doznał

tylko kilku małych ran. Od ukąszeń krwawiły mu oba uda i lewa ręka, którą chwycił gryzonie

wspinające się po ubraniu.

Wtem szczury odstąpiły na chwilę, a Conan zdyszany rozejrzał się dokoła.

Zobaczył teraz coś,

czego nie spostrzegł wcześniej. Kilkadziesiąt kroków w dół podziemnego strumienia znajdował

się naturalny, kamienny most. Cymmerianin zrozumiał, że jeśli zajmie ten skalny łuk, to szczury

będą musiały podchodzić najwyżej trzy na raz. Na tak wąskim przejściu Conan mógł

powstrzymać szczurzą hordeę przez całą wieczność.

Pomyśleć oznaczało działać. Cymmerianin rzucił się do mostu na przełaj przez piszczącą masę

gryzoni. Wiele z nich skakało w górę, kłając z taką furją, że kolana barbarzyńcy spłynęły krwią,

a spodnie zamieniły się w strzępy. Jednak impet Conana był zbyt wielki, aby szczury mogły go

powalić.

Łapiąc oddech, Cymmerianin wbiegł na kamienny łuk i zajął miejsce na środku, tam gdzie

ścieżka się zwężała.

Zanim szczury zorientowały się w sytuacji, zyskał czas na wyrównanie oddechu i uspokojenie

nerwów.

Potem horda znów zaatakowała. Conan stanął do walki trzymając miecz w obydwu dłoniach.

Gdy szczury zbliżyły się, Cymmerianin zaczął ciąć metodycznie lewa-prawa-lewa-prawa,

masakrując nacierające gryzonie. Ginęły dziesiątkami i setkami. Inne były strącane do

strumienia. Małe, owłosione łebki unosiły się nad wodą, próbowały dopłynąć do brzegu, ale

szybki nurt porywał je i unosił w ciemność.

Nigdy w ciągu całego życia Cymmerianina jego miecz nie przeciął tyłu istnień.

Gdyby

szczury były ludźmi, Conan stojąc nad podziemną rzeką wymordowałby cały naród. Walczył jak

nie znająca zmęczenia maszyna...

Koniec walki nadszedł niespodziewanie. Ogromny czarny szczur z najeżonymi wąsami,

zapewne ojciec wszystkich szczurów, ważący ponad dwadzieścia funtów, wyskoczył z

piszczącego stada i runął wrogowi do gardła. Conan dawno już stracił czucie.

Ramiona miał

odrętwiałe i ciężkie jak ołów, rozstawione nogi zaś były jak słupy z żelaza. Szczur wbił ostre

pazury pomiędzy ogniwa kolczugi i rzucił się do szyi Cymmerianina. Ten, wyczerpany walką,

nie miał już siły, by oderwać gryzonia od siebie. Ostre, dłutowate zęby rozcięły skórę pod brodą.

Kiedy następny szczur skoczył na but Conana, barbarzyńca spróbował go kopnąć, lecz chybił,

stracił równowagę i runął na plecy. Naturalny most załamał się z głośnym trzaskiem. Cały

środkowy odcinek wraz z Cymmerianinem wpadł w czarny nurt.

Conan znalazł się pod wodą, ściągnięty w dół wagą kolczugi. Olbrzymi szczur, próbujący

przegryźć mu gardło, zniknął, ale Cymmerianin zaczął się topić.

Odepchnąwszy się nogami od dna, wybił się na powierzchnię i zaczerpnął pełne płuca

powietrza, po czym ciężar znów ściągnął go pod wodę. Szybki prąd obracał nim i włókł po dnie

jak worek piasku. Jeszcze raz wypłynął na powierzchnię. Zawsze był dobrym pływakiem, ale

teraz kolczuga, która ochroniła go przed pokąsaniem, szykowała mu pewną zgubę.

Trzeci raz z wysiłkiem zdołał nabrać powietrza i znowu poszedł na dno. Na walkę o czwarty

oddech zabrakło mu siły. Świadomość umknęła i Conan z Cymmerii zapadł się w głęboki sen bez

marzeń.

Na próżno Lew walczy i powala wrogi

Cała jego załoga już w Piekło spogląda...

„Podróże Amry”

LOCH ROZPACZY

Sigurd z Vanaheimu był zdumiony. Kiedy on oraz reszta załogi „Czerwonego Lwa” ulegali

trującej mgłę, wydawało się pewne, że już nigdy więcej nie zobaczą światła dnia. Śmierć jednak

cofnęła od nich swe czarne szpony. Jeszcze i tym razem ominął Sigurda jej pocałunek.

Oszołomiony i zaskoczony pirat zbudził się w obszernej ładowni antilliańskiego statku. Leżał

w towarzystwie innych piratów, którzy także odzyskiwali świadomość. Wokoło stali niscy,

brunatni, śmiejący się wojownicy.

Sigurd pojął w końcu, co mu się przytrafiło. Omiótł spojrzeniem twarze załogi. Byli sponiewierani i pokrwawieni, a paru miało cięższe rany.

Ból przeszył serce starego korsarza. Z niepokojem ponownie przyjrzał się załodze. Ale gdzie

jest Conan? Znajomej twarzy, porytej bliznami, z czarnymi brwiami pod stalowo-szarą grzywą,

nigdzie nie można było dostrzec.

Sigurd znał dobrze niezłomną odwagę Cymmerianina i wiedział, że tylko kilku ludzi w ciągu

pół wieku mogło się pochwalić, że pojmało Conana żywcem. Ten posiwiasty wilk mógł wybrać

śmierć w walce niż niewolę u tych karłowatych, brunatnych ludzi. Jeśli jednak Conan został

zabity, to dowództwo należało teraz do Sigurda.

–Odwagi, moje serduszka! – zawołał do załogi stary pirat. – Chociaż nie jesteśmy wolnymi ludźmi, to jednak ciągle żyjemy. A kiedy złapiemy oddech, to niech mnie utopiają jak

szczura lądowego, jeśli nie wyrąbiemy sobie wolności!

Goram Singh spojrzał nań nieruchomym, ponurym spojrzeniem.

–Gdzie jest Amra, Sigurdzie? Dlaczego nie ma go wśród nas? – zapytał Venedhianin.

Sigurd powoli pogładził swą czerwoną brodę.

–Na ogon Shaitana i gwiazdę Ningal, kamraci, nic nie wiem. Być może jest w innej części

tej przeklętej galery...

Venedhianin przytaknął w milczeniu i odwrócił wzrok unikając oczu Sigurda. Wiedział

równie dobrze jak Vanir, że bardziej prawdopodobne jest to, iż potężny Cymmerianin leży gdzieś

na dnie morza z antilliańskim mieczem w brzuchu. Podróż do portu w Ptahuacan

zajęła blisko

godzinę. Sigurd zmrużył oczy, gdy wyprowadzono ich na ład skutych ciężkimi spizowymi

łańcuchami. Z zaciekawieniem spojrział na miasto wznoszące się tarasami na zboczu góry.

Nigdy w życiu Sigurd z Vanaheimu nie widział tak dziwnej metropolii. Całe miasto okrywał

przypominający całun cień ogromnej, czarno-czerwonej piramidy. Ze szczytu owej świątyni

wznosił się nieustannie pióropusz dymu, upodobniając ją do stworzonego ludzkimi rękami

wulkanu. Piraci nie mieli czasu podziwiać starożytnego miasta. Szybko poprowadzono ich pod

górze do twierdzy, stojącej tuż obok wielkiej piramidy. Kiedy potężne wrota zadudniły za nimi,

błękitne niebo na wiele dni zniknęło z oczu piratów. Straże popędziły ich w dół po nie

kończących się kamiennych stopniach, prowadzących do wnętrza góry, na której zbudowano

Ptahuacan. Na koniec dotarli do olbrzymiej sali wykutej w litej skale. Tutaj zdjęto im kajdany, po

czym skuto jednym, długim łańcuchem przebiegającym przez pierścienie wmurowane w ścianę.

Piraci mogli teraz jedynie siedzieć lub leżeć.

Potem straż wyszła i jeńcy zostali sami.

Wysoko ponad głowami więźniów wisały płyty świecącego metalu. Wytworzony przy

pomocy czarów lub zapomnianej wiedzy metal Atlantów jarzył się łagodnym, bladonoróżowym

światłem. Sigurd zastanowił się, czy to przypadkiem nie orichalk, ale było zbyt wiele

pilniejszych spraw, by marnować czas na takie domysły.

Raz dziennie przynoszono jedzenie. Kilka wiader tłustej, gorącej brei wylewano do długiego,

cuchnącego koryta biegnącego wzdłuż muru, do którego byli przykuci. Głód szybko

przewyciężył odrazę i załoga „Czerwonego Lwa” chciwie oczekiwała pory posiłku. Cały

autorytet Sigurda pochłaniało powstrzymywanie piratów od bójek o te nieapetyczne pomyje.

Zamknięci w tym wilgotnym miejscu, z dala od widoku słońca i gwiazd zupełnie stracili

rachubę czasu. Nie wiedzieli, czy byli tutaj dni czy miesiące. Nieustannie spierali

się o to

pomiędzy sobą, aż w końcu Sigurd nie wytrzymał.

–Zamknijcie się wszyscy! – ryknął. – Doprowadzicie mnie do szaleństwa tym trajkotaniem. Możemy być pewni, że karmią nas o tej samej porze każdego dnia,

tak więc posiłek

oznacza jeden dzień. Yasunga, ty będziesz odmierzał dni. Znajdź miejsce na

ścianie i rób rysę po

każdym przyniesieniu tej brei.

–Ależ, Sigurdzie – poskarżył się któryś Ophiryjczyk. – Nie wiemy, jak wiele dni przeminęło. Jedni mówią cztery, inni że pięć, a jeszcze inni sześć lub siedem.

Skąd mamy

wiedzieć?

Przerwał, gdy Vanir szczęknął wściekle łańcuchem.

–Zamknij się, albo owinę łańcuch dookoła twego nędznego karku i ścisnę tak, że

twój

zawszony łeb odpadnie jak robaczywa tykwa. Każdy może dodawać swoje dni do

karbów

Yasungi i dosyć tego! Każdemu, który zacznie o tym gadać, rozwalę czerep jak

jajo!

–Ach, jaja! – odezwał się Zamorianin Artanes, z wielkim jak niedźwiedź brzuchem.

–

Czego bym nie zrobił za parę tuzinów smażonych jaj...

Z brudu pojawiły się zakażenia. Nie opatrzone rany zaczęły ropieć. Dwóch ludzi

zmarło. Tęgi

Shemita, któremu w walce rozbito czaszkę, umarł wrzeszcząc na niewidzialnego

wroga. Drugi

był Murzyn z dżungli południowego Kush, którego spaliła gorączka. Obydwa ciała

zabrali

antilliańscy strażnicy.

Z pomocą nawigatora Yasungi, bosmana Singha i dowódcy łuczników Yakova

Sigurd starał

się utrzymać ludzi w karności i dobrym nastroju. Było to trudne, gdyż piraci łatwo

poddawali się

niemądrym żalom i wybuchom gniewu pomieszany z zabobonnym strachem,

napadami

przygnębienia lub desperacji. Sigurd nie zawsze mógł sobie z tym poradzić. Jego

imię budziło

wprawdzie respekt, ale nie tak wielki jak imię Amry.

Najlepszym sposobem, jaki wymyślił stary pirat, by podtrzymać ludzi na duchu,

były

opowieści o przeszłości. Godzinami wspominali więc bitwy, oblężenia i najazdy, w

których brali

udział.

Raz za razem odwoływali się do czynów Conana. Opowiadali sobie, jak u boku pięknej Belit
plądrował Czarne Wybrzeże i zapuścił się rzeką w głąb nieznannej dżungli, gdzie królową piratów
spotkał przerażający los. Mówili o tym, jak dziesięć lat później Amra pojawił się znów, by
żeglować z barachańskimi piratami i jak zgarniał łupy jako kapitan zingarańskich bukanierów.
Bez przerwy wspominali fantastyczną karierę swego przywódcy, bohatera tysięcy przygód i
zwycięzcy setek starć, pojedynków i ogromnych bitew.
W końcu jednak nawet Sigurd stracił nadzieję. Ciemny, wilgotny loch o ponurych kamiennych
ścianach przygniatał ducha zbyt mocno i zbyt długo. Niepewność losu była nie do zniesienia.
Kilkanaście razy Sigurd, z pomocą najsilniejszych ludzi z kompanii, próbował zerwać wiążące
ich łańcuchy z brązu. Jego ogniwa były jednak twarde i nieustępliwe. Nieustanne szarpanie,
tarcie i wykręcanie jedynie lekko zmatowiło ich powierzchnię.
Ucieczka wydawała się leżeć poza ich możliwościami. Mogli tylko czekać na wypełnienie się
swego losu. I wreszcie czas nadszedł.
Szczęk metalu obudził Sigurda z niespokojnego snu. Zerwał się ze słomy i zobaczył, że salę
wypełniają antilliańscy żołnierze. Piratów rozkuto, kopniakami zmuszano do powstania, po czym
wiązano im ręce na plecach.
–Co to jest, kapitanie? – mruknął Goram Singh. Sigurd potrząsnął głową.
–Crom i Mitra to wiedzą, bosmanie! – warknął, po czym podniósł głos: – Rażniej, chłopcy! Wyprostujcie się i pokażcie tym parszywym psom, że jesteście mężczyznami, choć
leżymy tutaj we własnym gnoju jak zwierzęta. Jeśli czeka nas pieńek katowski, to na zieloną
brodę Lira i czerwone serce Nergala, pokażemy tym śmierdzącym świniom, jak umierają
mężczyźni, co, chłopcy? Będziecie ze starym Sigurdem do końca?
–Aye, Czerwonobrody! – odkrzyknęli piraci.
–Dobrze, chłopcy! A może będzie to tylko targ niewolników, hę? Przy odrobinie szczęścia
takich krzepkich chłopaków jak my kupią wysoko urodzone damy do specjalnej służby w swoich
alkowach! – mruknął znacząco okiem.

Korsarze odpowiedzieli chórem gwizdów i sprośnych żartów. Sigurd śmiał się szeroko i chichotał. W tej chwili nie miało znaczenia to, co naprawdę myśleli w głębi duszy. Najważniejsze było zachować fason! Niebawem przekonali się, że czeka ich los gorszy niż śmierć. Mrużąc oczy od słońca, piraci spoglądali przerażeni na rozgrywający się wokół ponury spektakl. Stali tuż pod szczytem piramidy pod idealnie błękitnym niebem. Słońce wisiało wysoko nad ich głowami. Łapczywie chłonęli w płuca świeżą morską bryzę, po raz ostatni rozkoszując się jej orzeźwiającym powiewem. W dole, na placu wokół świątyni tłoczyły się dziesiątki tysięcy mieszkańców Ptahuacan. Sigurd był pierwszy w długim szeregu piratów stojących jeden za drugim. Byli nędznie wyglądającą gromadą lepiących się od brudu oberwańców, z długimi włosami i splątanymi brodami. Przed Sigurdem stało jeszcze kilkudziesięciu związanych, nagich Antillian. Żołnierze otaczali ich wszystkim zwartym potrójnym szpalerem. Kapłani w szatach z piór i w butach na koturnach krzatali się dookoła. Kilkunastu stało na szczycie piramidy, trzymając dziwne proporce i chorągwie. Nagle zaświsnęły bicze i z trzaskiem spadły na plecy i ramiona piratów. Żołnierze gwałtownymi gestami zaczęli wskazywać na szczyt. Długa linia milczących jeńców bez oporu ruszyła kamiennymi stopniami na wierzchołek świątyni. Sigurd ujrzał najpierw wielki i czarny, kamienny ołtarz, a następnie tron, na którym siedziała postać w szacie z czerwonych piór. Do pierwszego ze związanych Antillian podeszło czterech kapłanów w maskach zwierząt. Chwycili jeńca pod ramiona, przecięli więzy i rozpostarli na ołtarzu. Wtedy siedzący na tronie kapłan wstał i podszedł do nich. Poruszał się powoli, z powagą i dostojeństwem. Wyciągnął chude, brunatne ramię i nakreślił jakiś tajemniczy znak na nagiej piersi leżącego na wznak Antillianiua. Wtedy...

Oczy Sigurda załzawiły nagle od słońca i musiał zniżyć głowę, aby je otrzeć. Kiedy znów

spojrzał przed siebie, zobaczył ramię kapłana unoszące w zaciśniętej pięści obsydianowy sztylet.

Ostrze opadło kreśląc krótki łuk. Człowiek na kamieniu szarpnął się konwulsyjnie. Przez chwilę

arcykapłan pochylał się nad ofiarą, rżnąc nożem i pomagając sobie wolną ręką. Potem ociekające

krwią ramię uniosło do góry szkarłatną drgającą bryłę. Było to serce wycięte z ciała żywej jeszcze ofiary.

Tysiące zebranych ludzi wydało radosny pomruk. Kapłan zaintonował gardłową litanię,

kołysząc się w rytm jej melodii, przypominającej szum morza. Ze świętego ognia płonącego

obok ołtarza buchnął czarny słup dymu, gdy serce ofiarowanego rzucono na rozpalone węgle.

Zwłoki odciągnięto za ołtarz, po czym czterej kapłani ruszyli po następną ofiarę.

Strażnicy popędzili szereg w górę o jeden stopień. Piraci postępujący za Sigurdem milczeli

porażeni grozą. Stary korsarz nie czuł nic oprócz zimnej pustki. Czas się dla niego zatrzymał, a

wszehświat skurczył do objętości jego ciała. Jeszcze kilka chwil i wszystko będzie już za nim.

Jego długa podróż dobiegnie kresu. I cóż znaczą wszelkie ludzkie sprawy? Czyż każde ludzkie

życie jest tak bez sensu, jak okazało się jego? I jeszcze...

Wewnątrz owłosionej piersi Sigurda dzielne stare serce zadrżało z odrazy. Jego męstwo

zbuntowało się przeciw pokornemu poddaniu się losowi. Czyż nie był lepszy niż ci karzełkowaci

wyspiarze? Na młot Thora, był! Nie obawiał się śmierci. Ona i on byli starymi towarzyszami.

Czy naprawdę już nic mu nie pozostało? A дума? Aye, na Badb i Morigana, została mu jeszcze

duma!

Sigurd zaśmiał się warkliwie, ściągając na siebie uwagę stojących w pobliżu piratów i

antillianskich żołnierzy. Aye! Piekło czekało na śmierć starego Vanira!

Usłyszał skrobanie łusek po kamieniach

I Amra wiedział, że już nie jest sam...

„Podróże Amry”

W SMOCZYM LEGOWISKU

Wpierw pomyślał, że nie żyje, a morze życia wyrzuciło jego wypełnione wodą zwłoki na mroczne wybrzeże tamtego świata. Przez chwilę leżał nieruchomo, z niedowierzaniem mrugając oczami. Potem, stopniowo, budziły się inne zmysły i Conan zrozumiał, że przeżył. To było niewiarygodne, ale prawdziwe! Uniósł się na łokciu i rozejrzał wokół. Leżał w pustej jaskini, w której, rzecz dziwna, nie było zupełnie ciemno. Na ścianach i stropie błyszcząły tysiące małych punktów, rozjaśniając mrok łagodnym światłem. Przez chwilę wydawało się Conanowi, że jest pod gołym niebem, a zielone ogniki są gwiazdami. W rzeczywistości leżał na mokrym, gruboziarnistym piasku na brzegu podziemnej rzeki. Wpływała ona do jaskini niskim, łukowatym zwężeniem, które rysowało się mgliście pod powierzchnią pędzącej wody. Kilka kroków dalej potok zakręcał ostro, znikając w innym otworze. Nagła zmiana kierunku musiała wyrzucić nieprzytomnego Conana na zewnątrz łuku zakrętu, a jakaś tłąca się w nim jeszcze iskierka instynktu zmusiła go, by wyczołgał się z wody na brzeg. Cymmerianin usiadł i zaczął badać swe obrażenia tak dokładnie, jak było to możliwe w łagodnej, zielonkawej jasności wypełniającej jaskinię. Kości wydawały się nie połamane, ale całe ciało pokryte było małymi skaleczeniami i stłuczeniami. Zęby ogromnych szczurów i kamienie na dnie rzeki gęsto poznały jego skórę. Szczęśliwie, zimna woda podziemnej rzeki wymyła rany do czysta. Lekki nalot rdzy pokrył już ogniwa kolczugi, tak że przy każdym ruchu rozlegało się łagodne skrzypienie. Ciągle miał sztylet, ale miecz zgubił spadając do wody. Stał się chwiejnie na nogach, zatoczył się i wyprostował. Bolał go każdy mięsień. Bitwa ze szczurami nadwerężyła jego żelazne siły do granic wytrzymałości. Nie było wątpliwości, że po

wydstaniu się z rzeki spał cały dzień i noc, a nawet dłużej.

Poruszając delikatnie zeszywniałymi członkami poczuł kłujący ból powracającego krążenia.

Nowa energia rozplynęła się po całym ciele. Niebawem jego mięśnie nabrały dawnej

sprężystości. Odrzucił pustą pochwę miecza i uświadomił sobie, że jest głodny i spragniony.

Pragnienie ugasił na skraju potoku, ale nie było jak zaspokoić wilczego głodu.

Conan zaczął

żałować, że nie ma tu żadnego wielkiego szczura...

Lekkie ruchy pod powierzchnią wody przyciągnęły uwagę Cymmerianina. W rzece były ryby!

Conan wszedł na wystającą skałę i położył się na niej obserwując wodę z cierpliwością starego

łowcy.

Nagły wyrzut długiego ramienia i palce Conana zacisnęły się tuż przy skrzelach miotającej się

ryby. Ogłuszył zdobycz uderzeniem o skałę, zdarł łuski sztyletem i zjadł na surowo jędrne, białe

mięso. Kiedy skończył, umył ręce i twarz, po czym uznał, że pora rozejrzeć się po jaskini.

Szedł trzymając się blisko ściany. Poruszał się ostrożnie, by nie wpaść w jakiś rów czy jamę

wiodącą do niżej położonych części labiryntu.

Niebawem doszedł do zakrętu jaskini i spojrzał na najbliższy zielony punkt połyskujący na

ścianie. Odblask wydawał się pochodzić od czegoś podłużnego wielkości dziecięcego palca. Zbyt

ostrożny, by dotknąć nieznaną rzecz gołą ręką, Conan wyciągnął sztylet i szturchnął czubkiem

zielony punkt. Obiekt zwinął się i odpadł od ściany, po czym puścił się żwawo po dnie jaskini.

Cymmerianin stwierdził, że jest to świecący robak. Były tu miliony tych stworzeń.

Conan chrząknął głośno. Nagle gromada świetlików usadowionych na pobliskiej ścianie

jaskini wygasła swe światła, pozostawiając dużą łatę ciemności. Conan zamilkł i patrzył, jak

setki małych, zielonych światełek zapala się ponownie i z wolna powracają do normalnej

jasności. Nagły dźwięk najwyraźniej przestraszył robaki, które wygasły swe lampki.

Zielone światło ułatwiało poruszanie się, ale Cymmerianin sądził, że zboczył daleko od drogi,

którą obrał na początku. Gdy uciekał przed szczurami, wybierał tunele najbardziej ułatwiające ucieczkę, nie zważając na pierwotną trasę, uzgodnioną z królem złodziei. W końcu Conan stwierdził, że nie jest w stanie przypomnieć sobie wszystkich obieranych kierunków oraz odległości i nie może wrócić na dawną drogę. Gdyby nawet zdołał tego dokonać, to mógłby znów natrafić na hordę szczurów, a teraz nie miał nawet miecza, by z nimi walczyć.

Dalej badał jaskinię. Ogromne stalagmity wyrastały tu i tam ze skalistej podłogi i niekiedy łączyły się ze zwisającymi stalaktytami. Te naturalne kolumny przypominały Conanowi filary świątyni bogów podziemi, przy których ogromie nawet on wydawał się karłem. Conan pomyślał, że powinien postarać się o bardziej skuteczną broń niż sztylet. Potrzebował czegoś dłuższego, gdyż nie wiedział, jakich jeszcze mieszkańców podziemnego świata miał spotkać na swojej drodze.

Wszystkie stalagmity miały tępe czubki, Cymmerianin wybrał zatem wysmukły stalaktyt. Podniósł wapienną bryłę, ważącą około dwudziestu funtów, i rzucił nią w upatrzone miejsce. Stalaktyt pękł i spadł prosto w ręce Conana. Hałas spadających kawałków wapienia sprawił, że zgasła połowa świetlików w najbliższej okolicy.

Cymmerianin obejrzał swą nową broń. Był to stożkowaty szpic długości około pięciu stóp, mający przy podstawie grubość nadgarstka mężczyzny. Czubek nie był tak ostry jak u prawdziwej włóczni, ale przy odpowiednio mocnym pchnięciu mógł przebić każdego przeciwnika. Chwytając odłamek za cieńszy koniec można go było użyć jako maczugi. Conan obawiał się jednak, że wapienny kolec jest na to zbyt kruchy. Na krótki dystans stalaktyt mógł posłużyć jeszcze jako oszczep.

Tak uzbrojony, Conan ruszył w dalszą drogę. W miarę jak szedł, jaskinia zwężała się, a strop niżył. Świetliki stały się mniej liczne, tak że w gęstniejącym mroku Conan musiał poruszać się ostrożniej i badać stalaktytem drogę przed sobą, by nie wpaść w rozpadlinę.

Mimo to potknął się

na jakiejś nierówności i uderzył całym ciężarem w najbliższy stalagmit. Wapienna kolumna

złamała się i przewróciła z głośnym hukiem, który zadudnił echem w ciasnej przestrzeni.

Przestraszone świetliki zgasły natychmiast, pozostawiając Conana w zupełnej ciemności.

–Niech Ahriman pożre te przeklęte jaskinie! – zaklął i ruszył przed siebie macając wokół

jak ślepiec.

Wtem wyciągnięty do przodu stalaktyt dotknął czegoś, co się poruszyło. Conan zamarł w

bezruchu, usiłując rozpoznać istotę znajdującą się przed nim.

W ciemnościach rozległ się głośny węzowy syk. W twarz Conana buchnął cuchnący gadzi

odór. Pogłos w jaskini sprawił, że nie można było odróżnić, czy jest to jedno zwierzę czy kilka.

Pot spłynął na brwi Cymmerianina. Czyżby trafił na gniazdo węży? Jak wielu barbarzyńców z

Północy, nie znosił tych gadów, które roiły się w dżunglach i górach południowych krain.

Kilkanaście razy w swej karierze miał do czynienia z węzami daleko większymi od zwykle

spotykanych. Były to potwory długie na ponad pięćdziesiąt stóp, o głowach wielkich jak u koni.

Cymmerianin postanowił wycofać się i zrobił krok w tył. Wtedy zabrzmiał odgłos szurania,

jakby coś bardzo ciężkiego ciągnięto tuż przed nim. Conan stanął i wstrzymał oddech, nie chcąc

by najmniejszy dźwięk zdradził jego obecność.

Świetliki znów zaświeciły. Kiedy zielone światło ponownie zalało tunel, przed Conanem, na

wysokości jego głowy zabłysło ogromne, żółte oko.

Chwilę potem Cymmerianin zobaczył przed sobą smoka. Gad podobny był do dużych,

jadalnych jaszczurów, które sprzedawano na straganach Ptahuacan, był jednak trzy razy większy

od konia. Nieznacznie uchylone szczęki odsłaniały połyskujące szable zakrzywionych, białych

zębów. Rozwidlony język wysuwał się i cofał błyskawicznie, badając zapachy unoszące się w

powietrzu.

Conan odwrócił się i rzucił do ucieczki. Smok podniósł łuskowate cielsko ze skały,

na której

spoczywał, i ruszył za Cymmerianinem. Potężne łapy posuwały się niezgrabnie i bez wdzięku,

ale każdy krok pochłaniał zdumiewająco dużą odległość.

Próbując obejść smoka, Conan skoczył w najbliższy, boczny zaułek. Świetliki były w tym

miejscu mniej liczne, ale daleko w przedzie pojawiło się silniejsze światło. Miało ono naturalny

odcień światła dziennego.

Tuż za Conanem smocze szpony skrobały głośno o dno jaskini. Łuski smagające ściany

ogona szeleściły rytmicznie. Conan sądził, że zdoła oddalić się od gada, ale były to płonne

nadzieje. Cymmerianin musiał uważać na każdy krok, żeby nie upaść i nie zostać schwytanym,

zanim zdoła się podnieść.

Tunel skończył się wpadając do wielkiej sali. Światło stało się mocniejsze. Było go tutaj na

tyle dużo, by Conan mógł wyraźnie zobaczyć dwa następne smoki: po jednym z każdej strony.

Pierwszy z nich spał, a drugi kończył posiłek – przelykał właśnie parę ludzkich nóg zwisających

mu z pyska.

Kiedy Conan wbiegł między potwory, ten śpiący otworzył ślepią. Drugi potrząsnął uniesionym do góry łbem, w wyniku czego ludzkie nogi wsunęły się głębiej do

paszczy i

zniknęły z widoku. Oba gady ożywiły się i ruszyły w kierunku Cymmerianina.

Ścigający barbarzyńcę smok z donośnym pomrukiem wpadł do sali pomiędzy dwa pozostałe.

Wkrótce Conana goniły już wszystkie trzy. Ten z resztką człowieka w paszczy przełknął

gwałtownie, uwalniając gardziel dla następnej ofiary.

Pierwsza jaskinia była przedsionkiem jeszcze większej sali, oświetlonej przez snop dziennego

światła wpadającego przez dziurę w stropie. Sala ta została stworzona ludzkimi rękami – miała

regularny kształt, a w jednej ze ścian znajdowały się olbrzymie wrota z brązu. Po przeciwnej

stronie sali w kamiennej ścianie osadzono szereg kołków tworzących rodzaj drabiny sięgającej

do wysokości trzydziestu stóp. Tam znajdował się zakończony platformą wylot innego tunelu.

Conan zobaczył uzbrojonego Antillianina przechadzającego się po platformie, ale

nie było czasu

przyglądać mu się dłużej.

Całą uwagę Cymmerianina przyciągnęło sześć nowych smoków różnej wielkości, zgromadzonych na środku pomieszczenia. Wszystkie stały w koło, łbami do środka, dokładnie

pod wykutym w stropie świetlikiem. Każdy łuskowaty pysk był zwrócony w górę ku otworowi,

przez który wpadało dzienne światło. Sprawiały wrażenie, jak gdyby modliły się do jakichś

tajemniczych smoczycy bogów. Zębate grzebienie rogowych płytek biegły wzdłuż ich grzbietów

od łbów aż po końce łuskowatych ogonów.

Płuca Conana wypełnił gęsty, stęchły fetor. Pośród brudu pokrywającego podłogę sali

Cymmerianin spostrzegł skórzaste skorupy gadzich jaj, które swą wielkością przewyższały

strusie jaja z Kush. Było tu także mnóstwo nie strawionych ludzkich kości. Tu czaszka, tam

szczeka, a gdzie indziej fragment kręgosłupa lub żebra.

Gdy Conan wpadł do sali z trzema smokami na karku, cała szóstka przerwała czuwanie i

zwróciła głowy w jego stronę. Kiedy ich ociężałe gadzie mózgi zarejestrowały fakt pojawienia

się świeżego mięsa, smoki ruszyły ku Cymmerianinowi.

Po prawej stronie Conana znajdowało się wejście do następnego tunelu. Pobiegł ku niemu, ale

kiedy się zbliżył, w mroku zabłysły dwie pary wielkich żółtych oczu i znów rozległ się szelest

łusek po skale. Były to dwa następne smoki, które przybyły zaciekawione hałasem.

Conan rzucił się do drzwi z brązu, ale te okazały się zamknięte na glucho.

Smoki otoczyły Cymmerianina półkolem. Pot spłynął mu po czole i zapiekł w oczy. To było gorsze od szcurów, będących przecież ciepłokrwistymi ssakami, a przez to i

odległymi krewnymi człowieka. Tymczasem te tytaniczne, powolne jaszczury znajdowały się w

stosunku do ludzi na przeciwległym krańcu istot żywych. Były oślizgłymi potworami powstałymi

z pradawnego szlamu. Conan miał przed sobą gromadę niedobitków z czasów młodości świata,

kiedy to ziemia poruszyła się i zniszczyła ich potężnych przodków, na miliony lat przedtem,

zanim pierwszy człowiek stanął na tylnych nogach i postanowił walczyć o

dominację nad

światem przyrody.

Smoki zbliżały się jak żywe koszmary przybyłe prosto z piekła.

Obsydianowy nóż splywa deszczem krwi,

aby ugasić upiorne pragnienie.

TO jednak wciąż niesyte, przynagla

swych przeklętych służebników cierpienia.

„Prorocstwo Epemitreusa”

DZIEŃ KRWI I OGNI

Pod rozpalonym, południowym słońcem szereg milczących ludzi postępował krok po kroku w kierunku szczytu potężnej piramidy. Strugi potu spływały po twarzy i torsie Sigurda.

Nigdy nie myślał, iż kres jego życia nadejdzie w tak barbarzyńskich okolicznościach. Płonący statek, pokład śliski od krwi poległych czy zasypane gruzem uliczki zdobywanego portu – tak

zawsze wyobrażał sobie scenę swojej śmierci. Tam powinien czekać na niego zimny pocałunek

stali przeszywającej ciało. Ostrze wślizgnęłoby się pomiędzy jego żebra, a on roześmiałby się

przeciwnikowi prosto w oczy, po czym czerwona mgła zasłoniłaby ten ostatni widok. Ale nie tak

jak tutaj!

Sigurd rozejrzał się po prażonym słońcem placu wokół świątyni. Tłum w odświętnych

strojach połyskiwał złotem, jadem i błyszczącymi piórami. Zgromadzeni tu Antillianie stali lub

siedzieli w pełnym skupienia milczeniu, obserwując ponury spektakl rozgrywający się na

szczycie świątyni.

Kapłani stojący wokół ołtarza kołysali się miarowo, zawodząc powolną, nieharmoniczną

pieśń, przerywaną co jakiś czas hukiem olbrzymich bębnow pokrytych ludzką skórą, których

grzmot przypominał bicie gigantycznego serca. Dobosze siedzieli we wnęce jednego z boków

piramidy. Niszę pokrywały wymalowane jaskrawymi kolorami podobizny demonów i bogów

tego świata.

Sigurd spojrział w górę. Sylwetka najwyższego kapłana w czerni rysowała się wyraźnie na tle

lazurowego nieba.

Czterech kapłanów w zwierzęcych maskach krzątało się wokół ołtarza. Wszyscy byli obnażeni

do przepasek, tylko główny ofiarnik nosił ogromny, spadający na plecy pióropusz. Jego złota

maska odbijała promienie słońca rzucając oślepiające błyski.

W tej chwili ofiarą była młoda, naga niewolnica. Gdy pomocnicy położyli ją na ołtarzu na

wznak, obsydianowe ostrze błysnęło w słońcu i rozdarło jej kształtne piersi.

Chwilę później ręka

ofiarnika trzymała w górze drgające serce.

Szczęka Sigurda opadła ze zdumienia. Oto bowiem, na jego oczach, w przejrzystym powietrzu

zaczął z wolna materializować się Biesiadnik Piramidy.

Cień przyćmił słońce, a plac ogarnął chłodny półmrok. Powietrze przeniknął mróz międzygwiazdnej przestrzeni. Unoszący się nad piramidą Demon Ciemności uzyskiwał

widzialny kształt.

Sigurd usłyszał piratów mruczących modlitwy do wszystkich bogów, jacy tylko przyszli im na

myśl.

Mrok zgęstniał, nabierał wagi i konkretnego kształtu. Niespodzianie powiał od niego zimny,

cuchnący wiatr. Czarna chmura przybrała postać wirującej rozgwiezdy, której ramionami były

welony cieni. W jej wnętrzu kipiała ciemność.

Zafascynowany i przerażony Sigurd patrzył na TO nie mogąc odwrócić wzroku. Chmura

przyciągała jego spojrzenie niczym wąż hipnotyzujący swoją ofiarę.

Z dreszczem grozy Sigurd obserwował, jak ofiarnik karmił demona, podając smolistej

chmurze serce za sercem. Stary pirat zrozumiał teraz znaczenie symboli starożytnych Atlantów.

Czarny Kraken, który na pierwszy rzut oka przypominał ośmiornicę, w istocie symbolizował

właśnie tę pulsującą, dyszącą, czarną chmurę zła. Czarny Kraken był Xotlim, Demonem

Ciemności, o czym szeptały najstarsze tylko mity!

Sigurd mocno zacisnął szczęki, ale wewnątrz jego odwaga obumarła. Gdyby wiedział, że

skończy na splywającym krwią ołtarzu, to nigdy by nie wyruszył w tę podróż.

Linia jeńców wciąż posuwała się naprzód i w górę. Szczyt piramidy był coraz bliższy i

bliższy. Unoszący się nad nim obłok pulsującej ciemności stawał się coraz większy i ciemniejszy.

Niezwykłe było to, że żaden ze skazanych nie próbował się bronić lub uciekać. Wszyscy stali

z pochylonymi głowami albo tępo wpatrywali się w czarny obłok. Ponury, obezwładniający lęk

poraził ich dusze. Szli jak barany pędzone do rzeźni.

Przyczyną tej bezwolności na pewno nie byli strażnicy śledzący uważnie każdy

ruch jeńców.

Również więzy ciasno oplatające nadgarstki nie mogły pozbawić skazanych woli walki. To

straszliwa, nieludzka moc bijąca od Demona Ciemności sprawiała, że nikt nie szukał uciezki

przed skrwawionym nożem, który bez końca podnosił się i opadał.

Kolejne ciała z czerwonymi dziurami w piersiach i drgającymi członkami ściągano z

kamiennego ołtarza i rzucono w ciemną gardziel szybu, ziejącą kilka kroków dalej.

I znów na

czarnym kamieniu rozciągnięto nową ofiarę. Błysnął obsydianowy sztylet.

Trysnęła fontanna

krwi i wyrwane serce podniesiono do góry.

Sigurd idący na czele piratów nie żałował, że będzie pierwszy. Gdy Conan

odszedł, ciężar

dowodzenia spadł na niego. Dowódcy zaś wypadało dać swoim ludziom przykład

nieugiętej

odwagi.

W końcu przyszła kolej Sigurda. Czarny wir był blisko. Stary Vanir poczuł

badawcze

spojrzenie niewidzialnych oczu, pożądających jego życia i krwi.

Kapłani w zwierzęcych maskach stanęli przed nim. Byli obnażeni do pasa. Ich

torsy i ramiona

splywały szkarłatem. Szponiaste palce wpiły się w ciało Sigurda. Za moment

oprawcy

rozciągnęli jego olbrzymie cielsko na mokrym kamieniu. Oczy połyskujące w

szczelinach masek

były szkliste i mętne, a spojrzenia niewidzące.

Sigurd leżąc na plecach wpatrywał się w wirującą nad nim ciemność. Mocne ręce

trzymały

jego nadgarstki i kostki nóg. Teraz w polu widzenia pojawił się ofiarnik, łypiący

oczami spod

kłębowiska lśniących, szmaragdowych piór. Żyłaste, ociekające krwią ramię

wyciągnęło się, by

naznaczyć kudłatą pierś Vanira. Potem druga ręka podniosła do góry sztylet z

czarnego szkliwa.

Wtem uzbrojone ramię znieruchomiało. Sigurd z sykiem wypuścił oddech, który

nieświadomie zatrzymał.

Kapłan stał sztywno na tle nieba, a po chwili odwrócił głowę. Gdzieś w dole

rozległ się

dziwny dźwięk, jakby uderzenie w olbrzymi dzwon, wybijający chwilę

przeznaczenia. Siedzący

na tronie Hierarcha przerwał swą inkantację.

U podnóża piramidy zabrzmiał głośny szmer, jak gdyby wszyscy Antillianie naraz wciągnęli powietrze. Chwilę później buchnął wrzask. Ofiarnik zapatrzył się na coś dziejącego się na placu wokół piramidy. Sigurd usłyszał głęboki, donośny ryk, przypominający basowy skrzek krokodyla z Kush, ale o wiele dłuższy i głośniejszy. Czterej kapłani trzymający Sigurda puścili go i też zagapili się na widowisko rozgrywające się w dole. Chwytając jeden drugiego za rękę, wskazywali coś sobie i trajkotali podekscytowani. W tym momencie piraci oprzytomnieli. Złowrogi nastrój prysł, a wraz z nim przepadł hipnotyczny trans paraliżujący pragnienie desperackiej walki o życie. Sigurd sturlał się z ofiarnego ołtarza. Yasunga zaciskając z wysiłku białe zęby, zerwał pęta i z rozmachem zdzielił pięścią w twarz roztargnionego ofiarnika. Ten zachwiał się i bez jęku runął na kamienie w dole. Sigurd działał szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Jednym susem dopadł zaskoczonego Hierarchę. Włochate dłonie zacisnęły się na chudym karku i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, zachręścił łamany kręgosłup. Oddają skrwawione źródło życia wrzącej chmurze ciemności. Milczący tłum stoi odrętwiały, oszołomiony, ślepy i na wpół umarły. „Prorocstwo Epemitreusa”

BRAMY PRZEZNACZENIA

Rzucając się naprzód, Conan uderzył swą kamienną maczugą z odwagą, jaką daje beznadziejna sytuacja. Trafił w pysk najbliższego gada. Stalaktyt złamał się z trzaskiem, a jego

grubszy koniec upadł na ziemię.

Sycząc wściekle, smok cofnął się szczerząc zęby i bijąc ogonem. Nigdy dotąd żadne mięso nie

zadało mu tak bolesnego szturchnięcia w nozdrza! Smok nie miał doświadczenia w walce z żywą

zdobyczą i uderzenie zdziwiło go i rozgniewało w równym stopniu.

Broń Conana skróciła się teraz do dwustopowego kolca z wapienia. Wystarczało to jednak, by

dźgnąć w któreś z wielkich żółtych ślepi patrzących na niego z półkola łuskowatych łbów. Jeśli

cios byłby dostatecznie dokładny i silny, to ostry szpic mógłby dotrzeć nawet do niewielkiego

mózgu. Conan nie wierzył jednak, że to go zdoła ocalić, gdyż takie powolne stwory potrzebowały

dużo czasu, by stwierdzić, że są martwe.

W końcu do smoków dotarło, że będą musiały walczyć. Ogromne jaszczury ruszyły trzymając

się blisko siebie. Conan uniósł się na palcach i trzymając kolec jak sztylet wypatrzył cel.

Nagle smoki stanęły. Przez otwór w stropie sali wpadł do środka jakiś kształt i z głuchym

łomotem wylądował na plamie światła na podłodze. Były to nagie zwłoki, w których piersiach

ziała ogromna rana.

Smok uderzony przez Conana pochrząkując odwrócił się i ruszył do trupa kołysząc się

krokiem. Widać takie, nie stawiające oporu jedzenie odpowiadało mu bardziej niż to, które

szturchało w nos, gdy próbowało się je zjeść! Kiedy pierwszy smok zawrócił, wszystkie

pozostałe bezmyślnie podążyły za nim na środek sali.

Niebawem pod wylotem szybu biegnącego od ofiarnego ołtarza rozgorzały zmagania o dostęp

do trupa. Dwa smoki chwyciwszy ciało zębami za dwa końce, chrząkając i wykrzywiając grube

szyje, usiłowały wyrwać zdobycz z pyska przeciwnika. Pozostałe dreptały dookoła starając się

odgryźć choćby kawałek trupa.

Wreszcie ciało rozerwało się z trzaskiem. Dwa smoki, które pierwsze chwyciły
zwłoki,
odsunęły się na bok, by przełknąć swoje porcje, reszta zaś stłoczyła się
poszukując wnętrzości,
które wypadły na ziemię.
Conan zrozumiał wreszcie, w jaki sposób ci padlinożercy mogli utrzymać się przy
życiu w
tym labiryncie jaskiń. Nietoperze i świecące robaki na pewno by ich nie wyżywiły,
ale tysiące
trupów spadających tu ze szczytu piramidy umożliwiało smokom życie w luksusie.
Nierządnicą
Catlaxoc i arcyżłodziem Metemphoc mówili o ofiarach Xotli rzucanych w studnię
bez dna. W
rzeczywistości dno jednak było i zawsze stało na nim kilka wygłodniałych smoków
wpatrzonych
wyczekująco w wylot szybu.
Conan uświadomił sobie, jaką drogę przebył wędrując przez podziemne królestwo
szczurów i
smoków. Początkowo Cymmerianin planował wyjść z labiryntu pod PrzedSIONKIEM
Bogów. Ten
ponury, szary gmach wznosił się na skraju placu otaczającego piramidę.
Tymczasem walka ze
szczurami zbiła Cymmerianina ze szlaku, a podziemna rzeka zniosła go jeszcze
dalej poza
zapamiętaną trasę. Jednak za sprawą kaprysu losu lub bogów mimo wszystko
zdołał dotrzeć w
okolice swego pierwotnego celu. Znajdował się teraz dokładnie pod szczytem
piramidy!
Wszystko to przemknęło przez umysł Conana w czasie trzech uderzeń serca.
Kiedy potwory
odwróciły się od niego, barbarzyńca pobiegł po obwodzie sali, prosto do drabiny
z kołków
wbitych w otwory w murze, wiodącej do platformy, na której stał antilliański
wojownik. Strażnik
nie przechadzał się już ospale, lecz wskazując na Conana wykrzykiwał
niezrozumiałe pytania.
Cymmerianin dopadł drabiny. Strażnik miałby dużą przewagę, gdyby przyszło mu
odpierać
atak kogoś wspinającego się po kołkach. Conan właśnie zastanawiał się nad tym,
gdy jeden ze
smoków, który przegrał walkę o strzępy zwłok, ruszył ku niemu, wysuwając swój
długi,
rozwidlony język. Cymmerianin zdecydował się wypróbować swe szczęście w

walce ze

strażnikiem, niż znów stanąć przed stadem ogromnych jaszczurów.

Z szybkością małpy uciekającej przed lwem, Conan wspiął się na drabinę. Zanim smok dotarł

do ściany, Cymmerianin był już dwadzieścia stóp w górze, poza jego zasięgiem.

Teraz musiał poradzić sobie ze strażnikiem. Na chwilę przerwał wspinaczkę, wyciągnął sztylet

z pochwy i chwycił ostrze zębami. Wkrótce Cymmerianin znalazł się naprzeciwko wartownika

przykucniętego na krawędzi platformy. Mężczyzna zaszwargotał coś i groźnie machnął mieczem

z brązu.

Trzymając się kołka lewą ręką, Conan zahaczył kolanem o inny, co pozwoliło mu uwolnić

prawą rękę. Wtedy wyjął sztylet spomiędzy zębów. Żołnierz uniósł gwałtownie miecz. Sztylet

mignął w powietrzu, trafiając wartownika w szyję, w zagłębienie poniżej krtani i wbijając się do

połowy ostrza.

Ze zdławionym bulgotem strażnik szarpnął się w bok. Upuścił z brzękiem miecz, po czym

miotając się w agonii stracił równowagę i zleciał z platformy. Conan przyłgnął do ściany

unikając strącenia przez spadające ciało. Strażnik uderzył o podłogę sali z głuchym łoskotem.

Zduszony wrzask przecięło mlaśnięcie smoczych szczęk. Potem, na dole zabrzmiały odgłosy

gadziej ucztę.

Oddychając ciężko Conan wszedł na platformę i usiadł na krawędzi ze zwieszonymi nogami.

W ciągu ostatniej godziny przeżył najniebezpieczniejszą przygodę w całym swym awanturniczym życiu.

Kilka smoków wciąż stało u stóp drabiny, spoglądając na Cymmerianina z nadzieją. Po chwili

jednak odeszły i dołączyły do pozostałych, otaczających jasny punkt w centrum sali. Niebawem z

szybu wyleciały kolejne okaleczone zwłoki. Gady rzuciły się na trupa i na nowo rozgorzała

walka o krwawe ochłapy.

Odzyskawszy siły po biegu i wspinaczkę, Conan wstał i ruszył dalej. Za platformą był tunel

zamknięty brązową kratą, a za nią widniały stopnie wiodące w górę. Krata pod naciskiem dłoni

otworzyła się bez oporu. Kilka kroków dalej była duża nisza, a w niej znajdowało się gigantyczne spiżowe koło. Szprychy wystające poza obręcz uformowano w rękojeści, tak że całość przypominała koło sterowe dużego, zingarańskiego galeonu. Całą maszynę pokrywała gruba warstwa zielonej patyny. Musiały więc minąć co najmniej dziesiątki lat od chwili, gdy była ona używana.

Conan zadumał się, a jego myśli skupiły się wokół olbrzymich brązowych wrót prowadzących do jaskini ze smokami. Do czego mogły one służyć? Bardzo możliwe, że zagradzały smokom drogę do miasta. W razie potrzeby potwory mogły być wypuszczone na ulice Ptahuacan. Ale dlaczego Hierarcha mógłby chcieć zrobić taką rzecz?

Odpowiedź znalazła się bardzo szybko. Smoki służyły podwójnemu celowi. Nie tylko usuwały zwłoki, ale także mogły być wykorzystane jako broń w przypadku jakiejś rebelii przeciwko kapłanom. Nie ulegało wątpliwości, że koło z brązu było częścią mechanizmu otwierającego te wrota.

Tam na górze składano ofiary dla Xotli. Plac wypełniały tysiące ludzi, a najbliżej smoczycy wrót znajdowały się miejsca dla wyższych kapłanów i bogaczy. Wspaniały plan pojawił się w umyśle Conana.

Minął kratę i stanął przed kołem. Wziął głęboki oddech, chwycił za szprychy i mocno szarpnął. Metal jęknął przeciągle. Buty Conana zachrzęściły na kamiennej podłodze.

Rozluźnił mięśnie, wziął kilka głębokich oddechów i znów spróbował. Muskuły zadrgały mu na plecach i ramionach. Gdzieś po drugiej stronie muru rozległo się przeraźliwe skrzypienie. Pył i odrobiny odkruszonej patyny posypały się dookoła. Z piskiem mechanizmu zmuszanego do ruchu po wiekach martwoty, koło drgnęło.

Conan znów naparł na rękojeści, zaciskając dłonie tak mocno, że wydawało się, iż jego zbieleńczałe palce zatopią się w brązie. Ciągnął, aż krew zaczęła łomotać mu w skroniach. Koło

obróciło się o kilka cali. Gdzieś wewnątrz murów zahuczały wprawione w ruch ciężary przeciwwagi. Brązowe wrota przecięła świetlista rysa. Smuga blasku padła na podłogę sali. Obracanie kołem stało się dużo łatwiejsze. Zza muru dochodziło warczenie i dudnienie starożytnego mechanizmu. Przerwa pomiędzy skrzydłami drzwi poszerzyła się. Za moment koło zaczęło obracać się samo, coraz szybciej i szybciej. Odrzwia brązowych wrót rozchylały się z przeraźliwym piskiem zawiasów. Smoki, zaskoczone nie znanym im hałasem, zastrzygły uszami, rozejrzały się i zwróciły ku otwieranym wrotom, za którymi wznosiła się w górę stroma rampa. Jaskinię wypełniło ostre, dzienne światło. Conan zorientował się, że w tym samym czasie inna para drzwi otworzyła się na szczycie rampy. Tamte wrota musiały być u podstawy piramidy lub w jednym z budynków otaczających plac. Gdy Conan odpoczywał, osłabiony wysiłkiem włożonym w poruszenie koła, smoki wydając podniecone ryki ruszyły kołyszącym się krokiem przez otwartą bramę. Drapiąc szponami o rampę żwawo puściły się w górę. Z czarnych wylotów tuneli wpadających do sali wybiegały kolejne smoki zwabione rykiem współbraci i przyłączały się do pochodu. Wkrótce ponad czterdzieści potworów wyszło na plac na górze. Oblędny wrzask przerażenia dotarł aż do dna jaskini. Zdyszany, Conan leżał pod kołem i czekając, aż serce zwolni szaleńcze bicie, uśmiechał się okrutnym, zjadliwym uśmiechem. Ohyda z pradawnych błot wciąż czeka nienasycona. Choć dawno już Atlantyda runęła w proch pod miażdżącymi kopytami czasu. „Proroctwo Epemitreusa”

KRYSTAŁOWY TALIZMAN

Kiedy Conan naparł na wielkie brązowe koło, na malowanym tynku pokrywającym mur we
wnęce u podnóża świątyni pojawiło się pęknięcie. Zaprawa pokruszyła się i
zaczęła spadać na
bruk oraz głowy bębniących i śpiewających kapłanów. Drzwi z brązu ukryte pod
tynkiem jęknęły
i zapiszczały rozchylając się powoli.
Hymn ucichł, a kapłani odsunęli się z pośpiechem od wrót. Zdumieni spoglądali
jeden na
drugiego, wyrzucając z siebie niespokojne pytania. W ślady kapłanów poszło
tysiące Antillian,
którzy podnieśli się z miejsc wypatrując i rozpytując.
Na szczycie piramidy ofiarnik przerwał obrzęd w chwili, w której miał wyrwać
serce tęgiemu
barbarzyńcy o posiwiałej, czerwonej brodzie. Wrzawa narastała.
Wtem w ciemnym korytarzu rozległ się przerażający syk. Na plac powłócząc
łapami wyszedł
pierwszy smok, długi na ponad pięćdziesiąt stóp. Podniesiony łeb obracał się z
boku na bok, a
wypatrujące zdobyczy źrenice pod wpływem oślepiającego światła zwężyły się
zamieniając w
wąskie szparki. Z pyska wysuwał się długi na dwa łokcie różowy i rozwidlony
język.
Kapłani z wrzaskiem rzucili się do ucieczki, usiłując wywalczyć sobie drogę w
tłumie
prostych Antillian. Wybuchła panika. W obłądnym ścisku ludzie zaczęli tratować
się jak oszalałe
zwierzęta.
Jakiś kapłan potknął się o swój pokryty piórami płaszcz i upadł. Zanim zdołał się
podnieść,
szczęki smoka zamknęły się na nim z szybkim kłapnięciem. Gad uniósł łeb, po
czym targnął nim
kilka razy do tyłu, a elastyczna skóra na jego gardle rozdymała się i kurczyła w
rytmie
przełykania. Z każdym ruchem kapłan pogrążał się w paszczy coraz głębiej, aż w
końcu na
zewnątrz zostały tylko jego stopy w złoconych butach na wysokim obcasie. Smok
uznawszy, że
są one niejadalne, odgryzł je i wypluł.
Pozostałe potwory z otwartymi paszczami wpadły prosto w tłum uciekających
Antillian,

rozgniatając ich szponiastymi łapami i roztrzaskując jak zabawki machnięciami ogromnych ogonów. Krew bryzgała na wszystkie strony. Rynsztokami popłynęły spienione szkarłatne strumienie. Co chwila jakiś smok przerywał pościg, by unieść łeb i przełknąć zdobycz, po czym znów nurkował w tłum w pogoni za następnym kęsem.

Tymczasem na zboczu czarno-czerwonej piramidy otworzyły się małe drzwi i wyszedł z nich Conan, trzymając w ręku miecz z brązu odebrany zabitemu strażnikowi. Cymmerianin uniósł olbrzymią pierś, nabierając pełne płuca czystego, świeżego powietrza, tak miłego po trupim zaduchu podziemnych jaskiń. Słony wiatr od morza rozwiął jego zmierzwioną, siwą grzywę.

Wypuściwszy potwory na ulice Ptahuacan, Conan wspiął się na kamienne schody odchodzące ukośnie w górę od platformy nad salą smoków. Po drodze mijał wiele rozgałęzień i bocznych tuneli, ale wiedząc, iż ceremonia ofiarna odbywa się na szczycie świątyni, wybierał tylko te, które prowadziły w górę. W ten sposób dotarł do drzwi, którymi właśnie wyszedł na stok piramidy.

Przez chwilę stał spoglądając w dół. Z ponurą satysfakcją obserwował rozgrywające się na placu sceny szaleństwa. Kilka smoków dotarło do rzędów kamiennych ław, tam gdzie siedziała arystokracja i wyżsi kapłani. Dostojnicy biegli teraz jak w amoku w górę i w dół, ścigani, chwytni i pożerani. Wrzeszczące, pozbawione znaczenia kukielki.

Z tej wysokości Conan widział też odchodzące od placu ulice. Na każdej z nich kłębił się tłum uciekających. Ludzie wciskali się w napotkane drzwi i natychmiast je ryglowali. Pozostali nie przerywali ucieczki, dopóki nie minęli bram miasta i nie rozbiegli się po okolicy.

Conan spojrział na szczyt piramidy. Tam gdzie wznosił się ołtarz Xotli, grupa ludzi walczyła ze strażnikami. Ich kolor skóry i wzrost pozwoliły Cymmerianinowi stwierdzić, że jest to jego załoga.

Wtem uwaga Conana skupiła się na postaci stojącej znacznie bliżej. Był to jakiś stary kapłan,

w poszarpanej szacie z piór. Człowiek ten zgubił gdzieś swój pióropusz, a krew spływała mu z jednej strony łysej czaszki. Pochylony do przodu, gestykulował wściekle, wykrzykując rozkazy do stłoczonych żołnierzy i kapłanów.

U podstawy piramidy, dokładnie pod usiłującym opanować sytuację kapłanem, jeden ze smoków przystanął na chwilę, badając językiem zapachy. Potem potwór uniósł łeb i zaczął drapać się w górę po schodach.

Złośliwy uśmiech wykrzywił brodatą twarz Conana. Cymmerianin wepchnął spiżowy miecz za pas i ruszył w stronę schodów, na których stał antilliański dostojnik. Bez słowa położył obydwie ręce na wąskich plecach kapłana i straszliwie pchnął.

Hierarcha powiewając strzępami szaty spadł na stopnie poniżej i sturlał wprost pod idącego z dołu smoka. Zębate szczęki natychmiast zamknęły się na wiekowym przywódcy Antillian.

Wygolona głowa starego kapłana szarpnęła się gwałtownie, a kościste pięści zaczęły bić rozpaczliwie po łuskowatym pysku. Wkrótce jednak któryś z szablasytów klów natrafił na żywotny organ i krzyk urwał się, a głowa oraz ramiona zwisły bezwładnie.

Przysiadając u podstawy piramidy, smok zabrał się do przelękania zdobyczy.

Naprzeciw ołtarza Yasunga gromił kapłanów drzewcem od świętego proporca. Jakiś pirat i kapłan tarzali się po kamieniach. Każdy zaciskał dłonie na gardle przeciwnika.

Singh, bosman, chwyciwszy za halabardę jakiegoś żołnierza usiłował utrzymać broń ostrzem przy ziemi, podczas gdy jego przeciwnik starał się ją uwolnić i zadać cios. Zamorianin Artanes zdobyta piką walczył z dwoma Antillianami naraz. Sigurd ofiarnym sztyletem ciął więzy na nadgarstkach piratów, podczas gdy kilku innych korsarzy odpierało kapłanów i żołnierzy starających się mu to uniemożliwić. Wielu antilliańskich strażników uciekło ze szczytu piramidy, ale część ciągle walczyła ze swymi dawnymi jeńcami.

Z wojennym okrzykiem Conan rzucił się w wir starcia. Będąc w kolczudze z łatwością stawiał

czoło trzem małym brunatnym ludziom. Za moment antilliańska głowa zleciała z tułowia i

sturlała się po stopniach piramidy. Następny żołnierz zaplątał się w kłębowisko własnych

wyprutych kiszek, a trzeci uciekł wymachując kikutem ręki.

Oczy Antillian wypełniło zabobonne przerażenie. Zaczęli w popłochu cofać się przed

Conanem, który robił wypadki to tu, to tam, ciągle zmieniał pozycję i zabijał raz za razem.

Chociaż nie był tak zręczny, jak przed laty, to jednak jego atak był najbardziej przerażającą

rzeczą, jaką Antillianie kiedykolwiek widzieli.

–Demon! To jakiś demon! – krzyczeli umykając na boki.

Wkrótce już nikt nie stał pomiędzy Conanem a gromadą piratów zgromadzonych dookoła

Sigurda.

–Amra! – wykrzyknął Vanir. – Na Croma i Mitrę oraz wszystkich bogów, myśleliśmy, że

nie żyjesz!

–Jeszcze żyję, Rudobrody! Jak mam umrzeć, skoro ciągle pozostało mi kilku wrogów,

których nie zdążyłem zabić? – Conan klepnął Sigurda w ramię. – A co u was?

–Część naszych jest skuta kajdanami z jakiegoś szkła. Nie mogę tego przeciąć i nie wiem,

gdzie szukać kluczy.

–Zobaczymy co się da zrobić – mruknął Cymmerianin. – Rozciągnijcie łańcuchy na kamieniu ołtarza!

Spizowy miecz błysnął żółtawo w południowym słońcu. Cymmerianin uderzył z całą siłą.

Ogniwo łańcucha pękło z trzaskiem, a pryskające odłamki zamigotały jak diamenty.

–Teraz następny! – krzyknął Conan. Roztrzaskiwał łańcuch za łańcuchem, dopóki wszyscy

piraci nie zostali uwolnieni. W miarę jak odzyskiwali wolność, korsarze rozglądali się za

porzuconą bronią, podnosili ją i ruszali do walki. Pozostający jeszcze na szczycie piramidy

kapłani i żołnierze uciekli niebawem z okrzykami przerażenia, porzucając włócznie i miecze.

Conan spojrział na plac. Był on już prawie pusty. Tylko kilka smoków przechadzało się ciężko

po bruku ignorując ostatnich uciekinierów. Żołnierze, którzy nie uciekli, stali teraz w zwartym

szyku, pochylając las włóczy w kierunku smoków. Kapłani kręcili się przed frontem wojska gestykulując intensywnie i coś krzycząc.

Większość smoków już opuściła plac. Wszystkie najadły się, niektóre nawet w nadmiarze, i ich obecnym pragnieniem było znaleźć ciche miejsce, w którym mogłyby spokojnie trawić i drzemać. Większość gadów podążając za uciekającymi ludźmi wyszła z miasta i rozproszyła się przepadając wśród pól jarzyn i kukurydzy. Kilka potworów dotarło do portu, wśliznęło się do wody i popłynęło wzdłuż wybrzeża. W czasie gdy Conan obserwował plac, ostatnia para smoków wróciła z powrotem do jaskiń pod piramidą.

Kapłani zaprowadzili wreszcie porządek i zaczęli przegrupowywać swoje oddziały. Wskazywali przy tym szczyt piramidy, co oznaczało, że szykują się do ataku na piratów.

Wkrótce kilka setek brunatnych wojowników otoczyło piramidę ze wszystkich stron. Kilkunastu żołnierzy pobiegło do PrzedSIONKA Bogów i niebawem wróciło stamtąd, taszcząc kosze pełne szklanych kul z gazem usypiającym.

Oczy Conana zwężyły się. Teraz kiedy smoki odeszły, Cymmerianin nie miał wątpliwości, że dobrze wyszkoleni żołnierze Ptahuacan zdołają ich pokonać. Ten plac prawdopodobnie zobaczy śmierć Conana i jego załogi. Przedtem jednak czekała ich ostatnia wspaniała walka!

– Czy możemy ich pokonać, Lwie? – zahuczał Sigurd drapiąc się w nagą pierś i unosząc obsydianowy kord. – Na wnętrzości Nergala i piersi Isztar, chcę widzieć krew tych małych, brunatnych bękartów! Po tych dniach w śmierdzącym lochu z największą przyjemnością rozwalę kilka łbów i rozpruję kilka kałdunów, zanim padnę. Powiedz słówko, kamracie, wszyscy jesteśmy gotowi!

Conan kiwnął głową, a jego oczy płonęły. Miał już wznieść miecz i poprowadzić korsarzy do ostatniego ataku w dół schodami piramidy, by zwyciężyć lub paść, gdy nagle... zawisł nad nim złowieszczy cień Demona Ciemności.

Na Croma! Jak mogłem zapomnieć o tym stworze z przestrzeni pomiędzy

gwiazdami?

Przywołał go na ten świat krwawy rytuał, a emanacje konających ofiar nadały mu kształt oraz

materialną postać. Przerwanie ceremonii nie osłabiło go ani też nie zerwało potężnego zaklęcia, które dało mu życie w świecie ludzi.

Xotli trwał zawieszony ponad scenerią rzezi i buntu, przyglądając się z zimną złościwością

zniszczeniom i masakrze. Teraz ta nieludzka inteligencja ruszyła do działania.

Czarna chmura

zawisała, pulsując nad zgrają piratów, a z jej wnętrza wysunęły się niewidzialne macki.

Conan poczuł, jak lodowate palce wnikają w jego mózg, grzebiąc wśród wspomnień tak jak

korsarz przetrząsający skrzynię z łupem. Czuł dotyk obcych myśli penetrujących najskrytsze

zakamarki duszy. Całe jestestwo Conana buntowało się przeciw temu psychicznemu pogwałceniu

jego ja.

W tej najdziwniejszej walce swego życia Cymmerianin walczył przeciw badającym jego

umysł wiciom ciemności. W królestwie myśli umysł przeciwstawiał się umysłowi.

Blachy

pancerza z hartowanej stali albo dębowa tarcza okryta niegarbowaną byczą skórą nie mogły być

tu ochroną. Żadne ostrze czy muskularne ramię nie mogło odeprzeć duchowych macek, które

wkradły się do jego mózgu.

Conan czuł, jak te czułkowate palce wsączają w jego umysł lodowate odrętwienie rozlewające

się po całym ciele. Zaczął tracić siły i z ledwością udawało mu się ustać.

Lecz walczył z tym. Uczepił się życia i świadomości z całą dziką zawziętością swej barbarzyńskiej duszy. Nigdy nie sądził, że kiedykolwiek będzie używał umysłu tak jak broni.

Jeszcze był świadomy, jeszcze zmagał się z obcą inteligencją, która usiłowała go zniszczyć.

Jednak pamięć zamazywała się, a macki umysłu zwanego Xotli wciąż odrywały umysł Conana

od ośrodków psychicznej energii.

Nagle demon zmienił taktykę. Jego macki zaczęły wysysać żywotną energię Conana. Wzrok

barbarzyńcy zamglił się, świadomość przygasła. Przedmioty zaczęły tracić kolory, a w głowie

Cymmerianina zadzwoniły niewidzialne dzwony. Czuł się tak, jakby ześlizgiwał się coraz głębiej, w studnię zimnej ciemności...
Ciągle jednak walczył przeciwko woli Xotli. Z pamięci barbarzyńcy wydobywał się nikły szept i dotarł do ginącej świadomości. Conan ujrzał siebie, jak stał w duchowej formie w mrocznym wnętrzu Góry Golamira, podczas gdy duch mędrca Epemitreusa mówił do niego.
Jeszcze raz słyszał głos starożytnego filozofa:
„Mogę ci dać jeden podarunek. Noś go stale przy sobie, gdyż w godzinie ostatecznej próby będzie on twoim jedynym ratunkiem. Nie mogę powiedzieć ci nic więcej. W razie potrzeby twoje serce powie ci, jak użyć tego talizmanu”.
Conan przypomniał sobie mgliście chłodną, połyskującą rzecz, którą poczuł w dłoni po przebudzeniu z proroczego snu. Talizman ten nosił na szyi na srebrnym łańcuchu przez wszystkie późniejsze przygody.
Chociaż wyssano siłę z jego ogromnego ciała, ciągle jednak trwała w Conanie owa nieugięta żywotność, która pozwalała mu wyjść cało z tak wielu śmiertelnych niebezpieczeństw w ciągu całego życia. Teraz, w godzinie największej potrzeby, zebrał te ostatnie rezerwy. Jedną pobrużdżoną dłoń podniosła się do szyi, wyciągnęła kryształowego feniksa spod kolczugi i zerwała łańcuch jednym szarpnięciem.
Gdy ciemność zacisnęła się na mózgu Cymmerianina, ten upuścił talizman. Jak z oddali usłyszał jego brzęk na kamieniach.
Z ostatnim przeblyskiem świadomości, kiedy umysł już spadał w wirującą pustkę, Conan nadepnął na amulet i skruszył go na pył. Potem runął w niebyt.
A kiedy staniesz wobec Krakena,
zniewalającego najtęższe serca,
nie odstępuj, jak inni, którym zabrakło odwagi,
pozwól uderzyć feniksowi z kryształu!
„Proroctwo Epemitreusa”

BOGOWIE ŚWIATŁA I CIEMNOŚCI

Z jakichś niezmiernych odległości, przez ciemne oceany zimna i mroku, wzywał go daleki,
łagodny głos...
Kiedy Conanowi wróciła świadomość, ogarnęło go dziwne wrażenie. Poczuł, że trzymają go
mocno twarde dłonie oraz że jego nogi wloką się po kamieniach. Odetchnął głęboko, kaszlnął i
otworzył oczy, stwierdzając że jest niesiony. Z jednej strony trzymał go Sigurd Rudobrody, a z
drugiej Goram Singh.
–Postawcie mnie, na Croma – mruknął Cymmerianin. – Mogę sam iść.
Zatrzymali się i pomogli mu stanąć.
–Tak mi się wydawało... – dodał, kiedy bezwładne nogi ugięły się pod nim. Byłby upadł
do przodu i stoczył się po zboczu piramidy, gdyby kamracy znów go nie chwycili. Posadzili go na jednym z kamiennych stopni. Miliony gorących igieł przeszywały mięśnie
Conana, w miarę jak powracały mu siły. Cymmerianin powoli zbierając myśli rozejrzał się
dookoła.
Ogromna przejmująca cisza panowała w całej okolicy. Piraci znajdowali się w połowie
wysokości piramidy, tuż przed szeregami antilliańskich żołnierzy. Jednak brunatnoskórzy
wojownicy w połyskujących, szklistych zbrojach nie zwracali uwagi na piratów. Z wytrzeszczonymi oczyma i przerażeniem na twarzach gapili się w górę.
Conan obejrzał się i zadrżał z wrażenia. Nad szczytem piramidy pulsowała, migotała i rosła
dziwna światłość.
–To powstało z klejnotu, który skruszyłeś pod stopą – rzekł Sigurd, zerkając niespokojnie
w górę. – Mitra tylko wie, co tam się dzieje. Wszyscy usłyszeliśmy wewnętrzny głos,
ostrzegający nas, byśmy odeszli stąd i to szybko. Niech mnie utopiają jak lądowego szczura, ale
cała ta diabelska magia i czarodziejskie sztuczki odbierają odwagę prostym wojownikom.
Conan zachichotał. Diamentowy pył powstały ze strzaskanego talizmanu uniósł się jako
roziskrzona i migocąca chmura światła. Xotli ciągle wisiał nad kamiennym ołtarzem, a jego

macki poruszały się niespokojnie, szukając śmiertelnego wroga. Wirujące pyłki światła podnosiły się i rozbłyskiwały przybierając postać wirującej spirali jasności. Świetliste ramiona jarzyły się na tle ciemnej masy Xotli, jak miliony gwiazd w najczarniejszą noc. Włosy Conana rozwał nagle lodowaty wiatr, który mógł wiać tylko między gwiazdami. Wstęgi światła zgęstniały, uniosły się i zacisnęły na Xotli w morderczym uścisku. W tym momencie Mitra przemówił. Grzmot tysięcy burz zahuczał i przetoczył się ponad Ptahuacan. Ziemia zatrzęsała się wraz z piramidą pod nogami piratów. Po stokach świątyni osunęły się lawiny kamiennych ozdób. Z ogłuszającym hukiem duża część placu runęła w otchłań, zabierając ze sobą setki wrzeszczących brunatnych wojowników oraz wzbijając olbrzymią chmurę szarego pyłu. Conan domyślił się, że właśnie zapadła się jaskinia smoków. –Wynośmy się stąd! – ryknął Cymmerianin. Słaniając się na nogach i potykając, pobiegł schodami w dół. Za nim rzucili się tłumnie piraci. Ci z nich, którzy mieli broń, wysunęli się do przodu. Szeregi antilliańskich żołnierzy rozbiegły się jednak w popłochu. Zaczęli uciekać z miasta. Wkrótce ich przygarbione w biegu plecy zniknęły piratom z oczu. –Zbierzcie porzuconą broń! – krzyknął Conan. A potem do portu! Wysoko ponad nimi bogowie światła i ciemności zwarli się w walce. Ogniste błyskawice wylatywały co chwila z wirującej spirali światła, dookoła której wiły się czarne chmury. Ziemia drżała i dygotała. Ogromny, szary gmach PrzedSIONKA Bogów w ciągu kilku chwil zamienił się w kupę gruzów, którą zakryła kolosalna chmura pyłu. Jak gigantyczne drzewo ścięte toporem drwala, wysoka, spiczasta wieża pochyliła się i padła z hukiem na ziemię, powodując kolejny wstrząs gruntu pod nogami korsarzy. Conań wiódł swych ludzi przez ulice Ptahuacan, nie zważając na mijanych Antillian. Ci zaś, dbając tylko o własne ocalenie ignorowali ucieczkę jeńców. –Tędy – pokazał Conan. – Do portu, zanim całe to przeklęte miasto zamieni się w gruzy.

Wokół nich przedwieczne cienie gasnącego dnia niknęły, co chwila rozświetlane płomieniami jaśniejszymi niż południowe słońce. Głosy nadnaturalnej bitwy dudniły huczącym echem w wąwozach ulic Ptahuacan. Wreszcie trafiona kolejną błyskawicą oślepiającego światła czarna chmura zwinęła się wokół siebie, skurczyła, rozrzedziła i... znikła. Nadludzka moc uwolniła się w potwornym wybuchu. Ziemia zawibrowała jak powierzchnia uderzonego bębna. Wiele domów zawaliło się, a piramida zniknęła. Na jej miejscu zapłonęła kula ognia wielokrotnie jaśniejsza od słońca, która po chwili zgasła z potężnym grzmotem. Ludziom Conana aż zadzwoniło w uszach. Gigantyczna kolumna gęstego, czarnego dymu wzniosła się nad miejscem wybuchu, przybierając kształt grzyba. Migoczące błyskawice boga światła igrały jakiś czas na jej szczycie, niczym nieziemska korona. Wreszcie płomienie zgasły, a słup dymu opadł łącząc się z szarą chmurą pyłu wiszącą nad ruinami oraz z dymami pożarów. Nad Ptahuacan zaległa cisza. Większość kapłanów zginęła pod gruzami świątyni, a reszta uciekła za mury miasta. W ciągu nocy i dnia po katastrofie Ptahuacan znalazło się we władzy jednego tylko człowieka. Był nim Metemphoc, król złodziei. W czasie gdy miasto było prawie puste, złodzieje posłuszni rozkazom Metemphoca zajęli ocalałe duże budynki i arsenały. Zabili kilku napotkanych żołnierzy i otworzyli lochy, uwalniając swoich, a także setki zwykłych Antillian, skazanych pod byle jakim pretekstem i oczekujących na śmierć na ołtarzu Xotli. Wielu uwolnionych przyłączyło się do ludzi Metemphoca. Kapłani, którzy uciekli z miasta, zebrali resztki swych wiernych wojowników i spróbowali wywalczyć sobie powrót do stolicy. Jednak piraci Conana uzbrojeni we własną broń, odnalezioną w jednym z arsenałów, uderzyli na nich od tyłu i rozgromili. Tak oto, pod przywództwem grubego i przebiegłego Metemphoca, dla Ptahuacan zaczęły się nowe czasy. Król złodziei na pewno nie był idealnym władcą, ale trudno było być gorszym niż kapłani, którzy trzymali kraj w przerażającym ucisku przez tak wiele stuleci. Teraz ocalali z

pogromu Antillian czekały lata pokoju.

Na Płahuacan spłynęło błogosławieństwo Starych Bogów Atlantydy, którzy osiem tysięcy lat

temu zatopili ten kontynent w głębinach zielonego oceanu za to, że ich dzieci zapomniały o nich

ulegając mrocznemu Xotli.

–Na Croma! To wspaniałe znów czuć pod nogami solidny pokład, choćby nawet tak

dziwaczego statku, jak ten! – zawołał Cymmerianin.

Od klęski Xotli minął miesiąc. Conan wyczerpany zmaganiem w podziemiach miasta i na

stokach piramidy spał przez cały dzień i dwie noce. W dniach, które potem nastąpiły, jedynie

leżał, jadł za dwóch i opowiadał załodze swe przygody.

Teraz, kiedy świt zapalił na wschodzie szkarłatne i złote płomienie, Conan wkroczył na

połączane deski smoczego statku i odetchnął głęboko chłodną, słoną bryzą, która przeganiała

szarą mgłę znad oblicza Oceanu Zachodniego. Cymmerianin czuł ogromne zadowolenie. Ha!

Czy był stary? Czy powinien wpełznąć pod kołdrę i pozwolić zrządzającym medykom

zdecydować, kiedy ma się przenieść na tamten świat?

Prychnął zirytowany na takie myśli. Ciągle mógł dać Catlaxoc noc, która pozostawiłaby ją

szczęśliwą i bez sił. Stary pociąg do przygód, stare zamiłowanie do włóczęgostwa wciąż

wypełniało jego pierś. W jego wysuszonym, żyłastym ciele pozostało dość sił na jeszcze jedną

lub dwie przygody!

Poklepał połączaną burtę mocną dłonią, tak jakby klepał bok krzepkiego ogiera. Tak, jeszcze

jedną, ostatnią przygodę...

Rozejrzył się wokoło. Niezawodnym okiem starego korsarza Conan wypatrzył najlepszy

statek w porcie, kiedy wpadł na nabrzeże ze zziąjaną gromadą poszarzałych od pyłu piratów i

połową miasta walącą się w gruzy za nimi. Zapędził ich na pokład tego samego okrętu, który

kilka tygodni temu pokonał „Czerwonego Lwa”. Conan roześmiał się na myśl o zdumieniu, jakie

wywołałby ten dziwny atlantydzki statek na wyspach Baracha.

Przywłaszczenie tego okrętu, który nazwał „Skrzydlatym Smokiem”, nie odbyło

się bez
trudności. Piraci początkowo czuli niechęć do jego dziwnego ożaglowania.
Dlaczego, pytali, nie
wyciągniemy kadłuba „Czerwonego Lwa” i nie doprowadzimy go do użytku?
Jednak Conan
uznał, że ich karaka jest zbyt mocno uszkodzona, by udało się ją wyremontować
bez pomocy
stocznicy znajdujących się po drugiej stronie oceanu. Kadłub był wypalony w wielu
miejscach.
Żagle, maszty i takielunek spłonęły. Ich odtworzenie kosztowałoby mnóstwo
pracy i wysiłku.
Dużo łatwiej było zabrać zapasy oraz zdatne do użytku sprzęty i przenieść to
wszystko na
„Skrzydłatego Smoka”.
Potrzeba było jeszcze kilku dni, aby zapoznać załogę z egzotycznym olinowaniem
oraz
wprowadzić zmiany zaplanowane przez Conana. „Skrzydlaty Smok” był galera,
wymagającą
większej załogi niż żaglowiec tej samej wielkości. Szczęśliwie, pośród młodych
Antillian
znalazło się wielu śmiazków, którzy najęli się jako wioślarze.
Sigurd Czerwonobrody wszedł po drabinie na rufowy pokład, po czym chrząknął i
splunął.
–Hej, Lwie! – zawołał. – Dobrze spałeś?
–Jak zabity.
Sigurd wzruszył ramionami i spojrzał w tył, tam gdzie siedem wysp Antilli kryło się
za
horyzontem.
–Pozostało za nami wielu zabitych. Na brodę Lira i rybi ogon Dagona, podziwiam
sposób, w
jaki wyciągnąłeś nas z paszczy demonów!
–Co masz na myśli? – zapytał Conan.
–Och, nic! Po prostu nie sposób nie czuć respektu przed sposobem, w jaki
uwolniłeś
kompanów z kłopotliwego położenia, to jest doprowadzając połowę miasta do
ruiny.
Conan zaśmiał się szorstko.
–Tak! I z przyjemnością zrujnowałbym drugą połowę, by mieć obok siebie takiego
starego
morsa jak ty.
Sigurd westchnął.
–Miło, że to mówisz, Amra. Ale ja nie jestem już tak zwinny jak kiedyś – popatrzył
gdzieś

w dal. – Zrobiłbyś lepiej przyjmując ofertę Metemphoca, gdy chciał nas przyjąć do swej armii.

Conan uśmiechnął się potrząsając przecząco głową.

–My sami jesteśmy sobie królami i jesteśmy z tego dumni. Nie będziemy służyć innym

ludziom, kiedy możemy być panami samych siebie.

Słońce wzniosło się wyżej, napełniając niebo jaskrawym błękitem. Białe mewy krążyły

popiskując, a zielonkawe fale pluskały ó kadłub „Skrzydlatego Smoka”. Conan wziął głęboki

oddech, a stojący obok niego Sigurd patrzył to na jaśniejący świt, to na szarobrodego przyjaciela.

–Dokąd teraz, Lwie? – zapytał. – Wracamy na Wyspy Barachańskie czy spustoszymy

wybrzeże Stygii i Shem?

–Tego statku nie zbudowano do tak dalekich wypraw. Z tymi wszystkimi wioślarzami do

wyżywienia i napojenia nigdy byśmy tam nie dotarli.

–Ale zielona galera, którą wpieryw spotkaliśmy, dokonała tego.

–Tak, lecz ja nie jestem czarownikiem, by zwołać do wiosel gromadę duchów.

Conan zamyślił się. Stary Metemphoc opowiadał mu dużo o okolicznych ziemiach.

Dalej na

zachód, na krawędzi świata, jak mówił stary złodziej, leżał rozległy kontynent, Mayapan. Tak

nazywali go Atlanci i ich antilliańscy potomkowie. Dawni władcy Ptahuacan wyprawiali się tam

poszukując złota, szmaragdów, rodzimej miedzi, czerwonoskórych niewolników i niezwykłych

ptaków o przepięknych piórach. Polowali tam także na drapieżne koty, których skóry znaczyły

czarne plamy na złotym tle. Tam również były barbarzyńskie państwa założone przez zbiegów z

Atlantydy i Antilliów, w których pienili się kulty Wielkiego Węża i Szablatozębnego Tygrysa,

domagające się ludzkich ofiar.

Nowy kontynent, myślał Conan, świat bezkresnych dżungli i ogromnych równin.

Świat

nieprzebytych gór i tajemniczych jezior i potężnych rzek wijących się jak węże z roztopionego

srebra pod gałęziami szmaragdowych lasów, w których nieznane ludy czczą dziwnych i

straszliwych bogów...

Ciekawiło Conana, co czeka go w odległym Mayapanie? Jeśli dotrze tam, gdzie

tubylcy nie

widzieli nigdy brodatych ludzi i broni z żelaza, może zdobędzie olbrzymie imperium i będzie

czczony jako bóg? Może przynosząc tam część kultury świata hyboreańskiego, stanie się herosem

z legend, które przetrwają tysiące lat...

–Przerwijmy ten post! – rzekł do Sigurda. – Myślenie o przyszłości pobudza mój apetyt!

Zeszli na dół, pod pokład rufowy, i zasiedli do suto zastawionego stołu.

Tymczasem statek,

który lud Mayapan nazwał później Quatzalcoatl, co w ich języku oznaczało „Skrzydlaty” lub

„Upierzony Wąż”, zostawiając za sobą Antille płynął ku nieznanym krainom Zachodu.

O tym co było dalej, starożytne kroniki, które kończą się tutaj, już nic nie mówią.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-04

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/